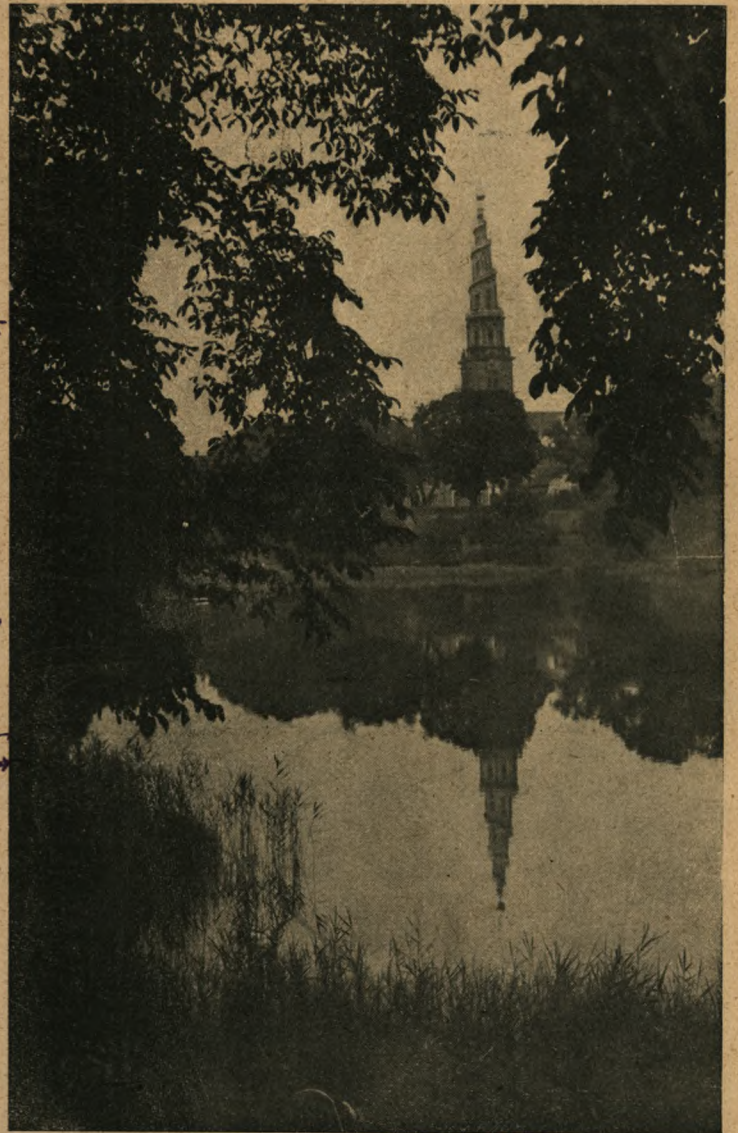
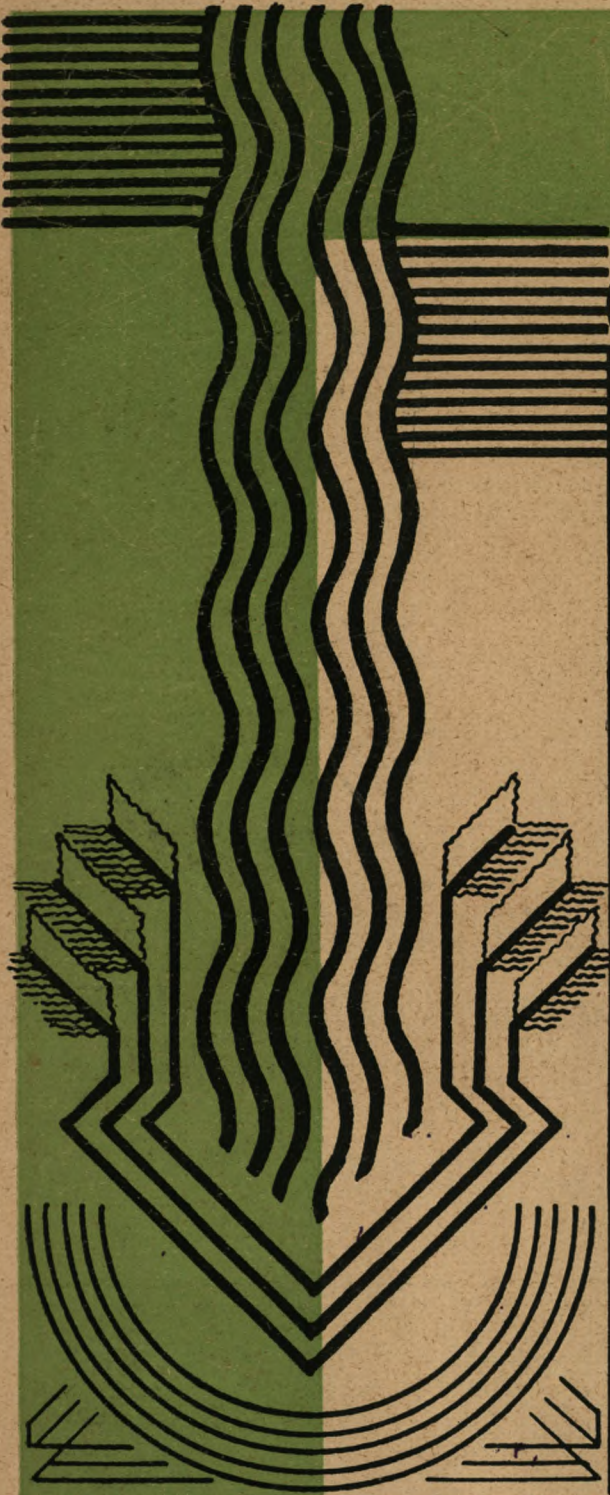


RODZINA

rolska



MIESIĘCZNIK
ILUSTROWANY
WARSZAWA

TREŚĆ:

	Str.		Str.
Nie komplikować chrześcijaństwa	322	Z teatru	344
Powrót do rodziny	324	Z piśmiennictwa	346
Cześć dla umarłych	325		
Czyn polityczny I. J. Paderewskiego	326	DZIAŁ KOBIECY	
W domu I. Paderewskiego	329	Dla duszy, <i>Tomasz a Kempis</i>	347
Na starych szlakach granicznych	331	Mój odpoczynek, <i>L. Kotarbińska</i>	347
Złoty polski a przewroty walutowe w świecie	333	Oddział Kobiet Ligi Morskiej i Kolonjalnej, ma swoje miłe dorobki, <i>L. K.</i>	348
O zapaleniu gardzieli	335	Ze „Związku Pań Domu“	348
Z wycieczki na Polesie	336	Po wakacjach, <i>Mrówka</i>	349
Noc listopadowa	338	Podręczniki koronkarskie, <i>Marja Stefkowa</i>	349
Wyścigi	339	Suknia wizytowa, <i>El. Kotwicz-Onichimowska</i>	350
Góry	340	Co robią nasze kobiety	350
Słońce	340	Co każda z nas wiedzieć powinna.	351
Dwaj bracia	341	Odpowiedzi redakcji	351
Z polityki	344	<i>Kącik dla dzieci</i>	360

ŻYJMY I MÓDLMY SIĘ Z KOŚCIOŁEM ŚW.

POLECAMY GORĄCO:

1. **Mszal rzymski po polsku i po łacinie**, format 16½ × 10½ cm., str. 1934, zawiera cały rok kościelny i patronal polski.
 - a) broszura 12.60
 - b) opr. w płótno (bronz., gran., ziel), brzeg kolorowy 14.80
 - c) „ pegamoid czarny, brzeg czerwony 17.50
 - d) „ „ „ „ złoty 19.50
 - e) „ skórkowa, brzeg czerwony 21.00
 - f) „ „ „ „ złoty 23.00
 - g) „ szagryn czarny, brzeg czerwony 25.50
 - h) „ „ „ „ złoty 27.50
 - i) „ „ „ „ złoty z obramowaniem 29.50
2. **Mszal rzymski po polsku i po łacinie**, format książeczki do nabożeństwa, str. 726, wydał ks. A. Zychliński. Zawiera msze św. na wszystkie niedziele i święta oraz ważniejszych świętych Pańskich całego roku. Dodatek: modlitwy do spowiedzi i Komunii św., litanje i t. d.
 - a) opr. w płótno, brzeg czerwony 4.—
 - b) „ skórkowa, brzeg czerwony 5.50
 - c) „ w płótno, brzeg czerwony, papier lepszy 6.—
 - d) „ skórkowa, brzeg złoty 9.50
 - e) „ „ „ „ „ „ 10.50
3. **Mszal niedzielny i świąteczny**, format 10 × 15 cm., str. 640, zebrał ks. M. Kordel. Zawiera msze św. po polsku na wszystkie niedziele i święta oraz ważniejszych świętych, z dodatkiem różnych modlitw i litanij.
 - a) opr. w płótno, brzeg czerwony 3.70
 - b) „ skórkowa, brzeg czerwony 6.—
4. **Ciebie Boga chwalimy** — ks. Tworowski, format 12 × 9 cm., str. 704, zawiera część stałą mszy św. po polsku i po łacinie, lekcje i ewangelje na niedziele i święta całego roku po polsku oraz obfity zbiór różnych nabożeństw i pieśni. Poleca się przedewszystkiem młodzieży.
 - a) broszura 1.—
 - b) opr. w płótno 1.50
5. **Życie chrześcijanina w obrzędach Kościoła** — ks. dr. K. Thullie, format 12 × 9 cm., str. 670. Zawiera msze św. na niedziele i święta całego roku (po polsku), część stała mszy św. po polsku i po łacinie oraz dodatek modlitw, rozmyślań i pieśni.
 - a) opr. czarna, gustowna 4.50
6. **Mszalik dla dzieci (modlitewnik)** — ks. dr. Z. Bielawski, str. 143, z ilustracjami, format 12 × 8½ cm.
 - a) opr. kartonowa 0.80
 - b) „ płócienna 1.—
7. **Mszalik dla dzieci** — ks. M. Godlewski, format maleńki z ilustracjami, osobno dla chłopców i dziewcząt.
 - a) oprawa gustowna, każdy egzemplarz po 0.30
8. **Dziecię i Jezus. Msza św., modlitwy wierszem**, 22 kol. obrazków, str. 47, format 13 × 9.
 - a) oprawa trwała 2.50
9. **Słowa żywota. Modlitewnik oparty na tekstach Biblii**, str. 167, format kieszonkowy.
 - a) opr. w płótno, brzeg złoty 5.50
 - b) „ skórkowa, brzeg złoty 9.—
10. **O naśladowaniu Chrystusa** — Tomasz a Kempis, format 12 × 8 cm.
 - a) str. 416, opr. płócienna, brzeg czerwony 2.50
 - b) „ 610, format 11 × 7½ cm., w opracowaniu ks. Jełowickiego, z dod. rozmyślań, opr. płóc., brzeg czerw. 3.—
 - c) format jak a), opr. skórkowa, brzeg złoty 7.50

KSIĄŻKI O MSZY ŚWIĘTEJ:

1. **Ofiara Mszy św.** — Gihl, z niemieckiego przełożył ks. Kuleszo, str. 764, brosz. 18.—
2. **Wykład Ofiary Mszy św.** — ks. Marcin z Kochem, str. 350, opr. w płótno 2.—
3. **Msza święta** — ks. F. Cozel T. J., str. 400, brosz. 2.30
4. **O Mszy świętej** — przełożył z pism kardynała Bony ks. dr. J. Bernacki, brosz. 1.50
5. **Cuda Boże we Mszy św.** — Rossignoli, str. 288, brosz. 1.20

KSIEGARNIA PRZEGLĄDU KATOLICKIEGO — WARSZAWA ul. Krakowskie Przedmieście 71

CHORA WĄTROBA zatrzuwa organizm

Zaburzenia w funkcjonowaniu wątroby i wydzielaniu żółci powodują swego rodzaju zatrucie organizmu, a na tem tie szereg najrozmaitszych chorób.

Ziolo Magistra Wolskiego „Biliosa“ zawierające znane rośliny egzotyczne Combretum i Boldo, pobudzają wątrobę do właściwej pracy oraz prawidłowego wydzielania żółci i powodują naturalne wypróżnienia. Stosują się przy cierpieniach wątroby i woreczka żółciowego (kamicy żółciowej).

Ziolo ze znakiem ochronnym „Biliosa“ do nabycia w aptekach i drogerjach (akładach aptecznych).
Wytwórnia: Magister E. Wolski — Warszawa, Złota 14, m. 1.

przy
hemoroidach

(KRWAWIENIE, SWĘDZENIE, PIĘCZENIE, SÓL)

CZOPKI
i MAŚC
"VARICOL"

GASECKIĘBO

DO NABYCIA W KAŻDEJ APTECE

Adres REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Krakowskie Przedmieście 71. — Telefon: 240.15.

Redaktor przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 15—17. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Drukarnia Archidiecezjalna — Warszawa, Krak. Przedmieście 71.

RODZINA POLSKA

MIEŚCZNIK
ILUSTROWANY

ROK IX. WARSZAWA LISTOPAD 1935.



NA UROCZYSTOŚĆ WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

NIE KOMPLIKOWAĆ CHRZEŚCIJAŃSTWA!

Ktokolwiek bacznie obserwuje świat, musiał zauważyć, że ponad chaosem życia politycznego i niedomaganiem społecznymi, unosi się tęsknota ludzka za uporządkowaniem życia, wprowadzeniem go na właściwe tory, za ciszą i spokojem, ustabilizowaniem warunków. Tęsknota ta nawet mimowoli musi łączyć się z myślą o Bogu, z uregulowaniem stosunku do Boga, choćby tylko z tego względu, że wszelkie próby unormowania życia ludzkiego, oparte na ludzkich podstawach, nietylko okazały się niewystarczające, ale beznadziejne.

Chodzi jednak o to, by tej tęsknocie wskazać łatwo zrozumiałą drogę, prostą tak w słowach jak i czynach, jednym słowem, by nie komplikować chrześcijaństwa, które z natury swej jest tak proste, jak prostym i nieskomplikowanym był jego Twórca-Bóg-Człowiek.

Gdy czytamy Ewangelię, wszystko tam jest proste, łatwe, a stosunek do Boga tak określony, że zaprasza, łączy wprost swoją szczerością, łatwością, odpowiadającą naturze ludzkiej.

Gdy natomiast przełóżymy literaturę ascetyczną choćby z jednego roku, droga doskonałości ukazuje się w takim świetle, że zwyczajny śmiertelnik bezradnie zakłada ręce i cofa się z myślą: to nie dla mnie. Bo droga tam wskazana prowadzi na wysoką górę, dostępną jedynie dla wprawnych i zaawansowanych turystów; bo wyjątkowe postacie tego typu, co Franciszek, Alojzy, Teresa, bohaterowie, cudotwórcy, stawiani jako przykład doskonałości, wyrabiają w nas przekonanie, że do świętości trzeba być urodzonym, względnie specjalnie wyposażonym. Czyta się w książkach, które mają prowadzić do doskonałości chrześcijańskiej, że istnieją trzy lub cztery stopnie modlitwy, a niejeden z ludzi zadowolony jest, gdy może jedno „Ojcze nasz” pobożnie zmówić. Podkreśla się ciągle stan zakonny jako stan doskonałości, a w katalogach świętych figurują przeważnie osoby zakonne, mało księży świeckich, a już znikoma ilość ludzi świeckich. Do wyjątków należy małżonka, która poszła do klasztoru, lub ojciec rodziny, który nie został zakonikiem lub księdzem. Stąd też wielu chrześcijan z pojęciem doskonałości łączy myśl o oderwaniu się od świata, rezygnacji z wszelkiej ziemskiej przyjemności, wyrzeczeniu się wszystkiego co smakuje i jest przyjemne, jakgdyby chrześcijaństwo było pewną formą budyzmu, a święty chrześcijański należał do gatunku jogów, których chwala tem więcej rośnie im więcej głodują.

Tymczasem słowa Chrystusa „Bądźcie doskonałymi jak Ojciec Wasz w niebieszech doskonały jest” odnoszą się do każdego chrześcijanina; gdy zatem doskonałość można osiągnąć tylko nadzwyczajnymi środkami, wszyscy chrześcijanie byliby do używania ich obowiązani, czego Kościół nigdy nie żądał. I absolutnie nie jest to po myśli Kościoła, gdy przy przedstawieniu ideału doskonałości chrześcijańskiej uwypukla się przedewszystkiem pierwiastek nadzwyczajny i heroiczny, i doskonałość tę przyobleka w jaknajsurowsze oblicze, tak, że, im kto chce być bliżej ewangelji, czyli „wesolej nowiny”, tem musi być smutniejszym. „Święci nie tańczą, nie uprawiają sportów, nie chodzą do teatru” i t. d. — w ten

sposób myślą ludzie zwyczajni o świętości, czerpiąc swe wiadomości ze starych zwłaszcza biografij świętych.

Ta przesada sprawiła, że wielu z ludzi ułożyło swój stosunek do doskonałości na sposób negatywny, t. z., że chcą unikać grzechu, wypełniać konieczne obowiązki, ale ani myślą pozytywnie zdążyć do świętości.

Naturalnie, że ich postępowanie nie znajduje całkowitej aprobaty u kierowników duchownych, którzy najczęściej radzą zwiększyć ilość ćwiczeń duchownych, a więc częstsze nawiedzanie kościoła, częstszą Komunię św., jako czynności, bez których nie można być dobrym chrześcijaninem w pełnym tego słowa znaczeniu.

A przecież nie jest to zupełną prawdą, jeśli się zważy, że nikt tak często nie chodził do świątyni, nie modlił się tak długo, nie pościł tak surowo, jak faryzeusze i gdyby od ilości ćwiczeń duchownych zależała wartość człowieka jako chrześcijanina, natenczas faryzeusze byliby ulubieńcami Chrystusa. Naturalnie, że nie jest obojętną rzeczą, czy się tylko wykonywa obowiązki religijne konieczne, czy też dodaje się ilościowo i jakościowo coś od siebie, z własnej pilności i gorliwości. Należy jednak zrobić pewne rozróżnienie. Otóż rzeczy te mogą być rezultatem głęboko wierzącej duszy i są tylko objawami, promieniowaniem ducha oddanego Bogu, ale mogą też być tylko środkami poleconymi względnie nakazanymi w tym celu, by serce zagrzać w miłości ku Stwórcy. W tym ostatnim wypadku nie są one wpływem danego już usposobienia, ale raczej medycyną, środkiem pokrzepiającym. Otóż gdy chodzi o uzewnętrzanie miłości, nigdy nie może ich być za dużo, tak jak drzewo, chociażby najwięcej miało kwiatu, nigdy brzydkiem nie będzie. Natomiast sztuczne przeladowanie np. choinki w okresie Bożego Narodzenia, raczej ujemne wywołują wrażenie. Dotyczy to w szczególności faktu, gdy ćwiczenia religijne nie idą w parze z duchem chrystjanizmu, objawiającym się w życiu.

Jeśli zakonnica, pielęgnująca chorego, całe godziny trawi na pracy koło pacjenta i zawsze pogodną jest i bezinteresowną, to jeśli potem pół godziny się modli, żaden choćby największy wolnomyśliciel nie uśmiechnie się sarkastycznie, ani nie będzie szydził z tego faktu, ale raczej z czcią odkryje głowę, bo prawdziwe chrześcijańskie usposobienie, duch chrześcijański w czyn wcielony, zawsze będzie uszanowany. Natomiast nic więcej nie obrzydza ludziom chrześcijaństwa jak dysharmonja między zewnętrzną religijnością, a wewnętrzną dobrocią i miłością bliźniego.

Chrześcijaństwo jest nieskończenie proste, tak, że dziecko może je zrozumieć i całą duszą przyłgnąć do niego. Jest też tak pełne radości i pogody, że kto znalazł tę perłę wszystko za nią odda. Tę ostatnią zwłaszcza myśl należy ciągle z naciskiem podkreślać, motywując ją faktem, iż w chrześcijaństwie Bóg jest Ojcem, a my Jego synami, a więc że chrześcijaństwo nietylko jest nową wiarą, ale zupełną zmianą naszego stosunku do Boga, że dostaliśmy pewne prawa, których sami nigdy nie moglibyśmy zdobyć, ani wysłużyć. Dla chrześcijanina istnieje tylko jeden środek zbawienia i jedna świętość i jedno najpiękniejsze i najweselsze przykazanie „Będiesz miłował Pana Boga Twego ze wszyst-

kiej duszy twojej". A ten Pan Bóg jest najlepszym, najczulszym, najmiłosierniejszym Ojcem, który biegnie wprost naprzeciw grzesznika, i w ramiona mu pada. Czyż miłość takiego Ojca może być trudną, a przecież nieraz za wiele się mówi o sądzie Bożym i o karach, a mniej o miłości, jakgdyby lepiej było wychowywać ludzi groźbami i strachem, niżli miłością. Tymczasem wtedy dopiero, gdy ludzie z weselem i radością swoją wiarę będą wyznawać, możemy być pewni, że wiernie jej dotrzymają. Kto uważa swą wiarę za bicz dla sumienia, ten będzie miał może dla niej respekt, ale nigdy jej nie pokocha.

Skarżą się niejednokrotnie pobożni katolicy i katoliczki, że więcej kochają swe dzieci czy rodziców, że przywiązanie ich do rodziny jest większe niżli do Boga i z tego względu nie mają spokoju w duszy. Wytrawny spowiednik wytłumaczy im jednakże, że nie mają żadnego powodu do zaniepokojenia, bo miłość Boga musi

być tylko *appretiative summa*, t. zn. w każdym wypadku należy więcej cenić Boga i Jego sprawę niżli sprawy ludzkie, ale Bóg nie żąda od nas miłości afektycznie największej, bo taką już naturę dał człowiekowi, że węzły krwi budzą większe uczucie względem rodziny niżli w stronę niewidzialnego Boga.

Nie łudzę się bynajmniej, że kreśląc tych kilka uwag, odkryłem nieznaną rzecz; chodzi mi jedynie, o to, by w dzisiejszych czasach wzmagającej się tęsknoty za życiem nadprzyrodzonym, nie komplikować prostego ze swej natury i zasady chrześcijaństwa i nie degradować je do farmaceutyki duszy przez podawanie wielkich, wzniosłych myśli w formie proszków czy pigułek. Chrześcijaństwo jest miłością — oto zasadniczy ton Ewangelji, który jak w prostej formie rozbrzmiewał w pierwszych wiekach, zyskując świat dla Chrystusa, tak i dziś w najprostszej swej formie najlepiej odpowie swemu zadaniu restauracji ducha chrześcijańskiego w świecie.



Pejzaż Argentyny

POWRÓT DO RODZINY

W Związku Sowietów mieszka dziś około stu milionów ludzi, urodzonych po r. 1906, liczących mniej niż lat 30, którzy na okres przedwojenny nie mają żadnych osobistych poglądów i na których rozwój decydujący wpływ miały wydarzenia z czasów wojny, rewolucji, wojny domowej i walki o socjalizm. Nie przekroczyli oni nigdy granic kraju i wzrosli w atmosferze bolszewizmu.

Co ta olbrzymia armia młodych ludzi z Bolszewji — tak obcych światopoglądom Zachodu — przyniesie światu? Co drzemie w ich duszach i sercach? Jakie są ich pragnienia? Czy młodzi ci ludzie utrzymują się w ramach fanatyzmu partyjnego, czy też może zachodzą w nich przemiany? — Oto pytania, które siłą rzeczy nasuują się — dziś zwłaszcza — kiedy nadchodzą z Rosji wieści o głębokich przemianach, jakie w tamtejszej młodej generacji odbywają się, wytwarzając coraz wyraźniej nowy typ człowieka, wyrrywającego się z ciasnych ram doktryny bolszewickiej.

Przedewszystkiem zachodzi pytanie — jaki jest stosunek tej młodej generacji Rosji bolszewickiej do sprawy rodziny i małżeństwa?

Wiadomo, że doniedawna jeszcze Sowiety jakby poniekąd bały się rodziny, uważając ją za ostoję prywatnej własności. Rozumowano tak: ojciec rodziny, często także matka, pragną dzieciom zapewnić przyszłość, robią oszczędności lub nawet majątek. Tam, gdzie ideałem jest uchylenie prywatnej własności, tam oczywiście rodzina jest niebezpieczeństwem.

„Małżeństwo traktuje się w państwie sowieckim — pisał Bucharin — jako fantazję ludzi, którzy pragną zarejestrowania zamiaru prowadzenia wspólnego życia płciowego”. Oczywiście taki pogląd doktrynerów bolszewickich doprowadzał do wniosku, że powinno się ułatwiać rozwód.

Toteż fala rozwodów obejmowała spoczątku coraz szersze masy. Doniedawna jeszcze statystyka sowiecka wykazywała, że ponad 200.000 dzieci w Rosji sowieckiej zostało opuszczone przez rodziców, którzy rozeszli się z takich czy innych powodów.

Ale wszystko to obecnie zaczyna się zmieniać. Jak to wykazuje niedawno wydana praca Jana Iwasiewicza p. t. „Bezdroża Rosji sowieckiej”, odbywają się w duszach mas — zwłaszcza młodej generacji — głębokie przemiany. Ponieważ życie wykazuje, jak opłakane rezultaty wydało rozluźnienie węzłów rodzinnych, więc dziś już w organizacjach młodzieży komunistycznej dyskutować się zaczyna na temat, co czynić, aby życie rodziny uzdrowić?

Mówić się więc zaczyna na temat miłości i wierności w małżeństwie z taką powagą, jakgdyby chodziło o problemy o doniosłym znaczeniu dla życia gospodarczego kraju. Część tej dyskusji komsomołców moskiewskich opublikowała „Maładaja Gwardja”. Jest to bardzo ciekawy materiał, charakteryzujący atmosferę duchową dzisiejszej młodzieży sowieckiej. (Por. „Tęsknota do rodziny, Przemiany obyczajowe w Rosji sowieckiej”).

Po różnych karkołomnych doktrynerskich eksperymentach młodzież w Sowieciech zapragnęła pokoju i normalnego życia na łonie rodziny. Zaczyna się odzywać głos sumienia i prawo natury. Doniedawna ideałem była technika i zmechanizowanie woli. Założyciel mło-

docianej „Ligi Czasu”, Gastjew, głosił poezję rytmu pracy: „Czego wam brakuje, towarzysze, oto: ostrego wzroku, szybkiej decyzji, stalowej woli. Stwórz sobie mechanikę swego życia i czasu. Stań się inżynierem swego losu!”

Widzimy w tych nawoływaniach przerobione na bolszewicki sposób hasło rytmu i mechanizmu potęgi woli, zaczerpnięte z amerykańskich wzorów różnych Mardenów i Mulfordów, głoszących, że wola i rytm o wszystkim w życiu decydują. Ale młode pokolenie Rosji, głębiej spoglądając do własnego sumienia, spostrzega, że to jeszcze nie wszystko, że ideał potęgi woli nie zaspakaja wszystkich pragnień człowieka.

Zaczyna się więc nowy prąd. Niedawno — jak o tem donosi dr. Klaus Mehnert w swej pracy „Młodzież w Rosji sowieckiej” — jeden z przywódców Komsomolu na zebraniu wołał: „Towarzysze, czego nam potrzeba? Potęgi, hartu woli? Tak! Ale, towarzysze, w człowieku jeszcze jest uczucie. Śmiem więc tu przypomnieć, co mówił w swym czasie tow. dr. Iwan Bloch: „Miłością jest człowiek sam. I miłość, podobnie jak człowiek, przechodzi ten sam rozwój i podobnie, jak i on, dąży do czegoś wyższego, lepszego. Towarzysze! Wróćmy do rodziny! Rozstrzygnijmy uczciwie: czy wierność potrzebna jest w miłości”.

Oto nowe słowa, nowy prąd w duszach!

Ten sam dr. Mehnert przytacza następujący niedawny fakt. W Komunie moskiewskiej pobrało się dwoje młodych. Wkrótce on zaczął ją zdradzać: *Władimir razlubił Katiu*. Znaczy to — dosłownie nie można tego przetłumaczyć — „Władimir przestał kochać Katię”. A więc rozwód. Tymczasem wielu członków komuny zaprotestowało: „Władimir jest łotr, powinien być zastanowić się przed ślubem, nie wolno mu przecież na przód się żenić, a po chwili uciekać”.

Katia wytoczyła rzecz całą przed walne zebranie komuny. Większość potępiła Władimira, ponieważ „lekomyślnie wstąpił w związku małżeńskie”.

Inny znowu fakt. W tej samej komunie żyje inna para małżeńska: Stepan i Tania. Z pomiędzy jedenaśtu komunardów jest pięciu żonatych. Ponieważ było ciasno, warunki mieszkaniowe okropne, młodzi nie mieli spokoju i własnego kąta, więc wywierało to na ich psychikę wpływ bardzo ujemny. Pary małżeńskie tęsknić zaczynają za ogniskiem rodzinnym. Tania w liście do męża z rozpaczą pisze te słowa: „Pragnę mieć rodzinny nastrój, osobiste szczęście, proste, zupełnie legalne szczęście... Czyż komuna nie może zrozumieć, że jest to ludzka konieczność?”

Komsomołka Rżawska wprost mówi: „Chciałabym mieć ognisko rodzinne. „Koleżeńskie małżeństwo” jest dla mnie nudne i szare”. (Por. „Maładaja Gwardja”).

Oto poszczególnie wyznania. Ale ta nowa atmosfera — pragnienie ogniska rodzinnego — ogarnia coraz silniej umysły młodej generacji rosyjskiej. Doktryna, próbująca wtłoczyć indywidualność w mechanizm bezduszny mrowiska ludzkiego, w które życie jednostki było całkowicie pochłonięte przez „interesy państwa” — taki eksperyment nie wytrzymuje próby życia.

Dusze ludzi — zwłaszcza młodych — pragną więcej: one czują potrzebę skupienia życia w ramach, jakie

CZEŚĆ DLA UMARŁYCH

Jakże częsty to widok, zwłaszcza po większych miastach!

Sunie karawan, kirem okryty, za nim w nastroju żalobnym idzie orszak pogrzebowy. Na twarzach tych, co towarzyszą zmarłemu, rozlany smutek, powaga, zamyślenie. Na miejsce wiecznego spoczynku idzie jeden z tych, którzy dokonali już swego żywota.

A razem z orszakiem żalobnym jakiś powiew zświata płynie, rzekłbyś, ulicami miasta, jakby szept zagrobowy: „Memento mori! — Hodie mihi, cras tibi!” — Ja dziś odchodzę, ty jutro! Pomnij o śmierci!

I na widok ostatniej drogi, którą człowiek odchodzi w nieznaną wieczność, wszyscy przechodnie uchylają nakrycia głowy. Oddają zmarłemu ostatnią cześć.

Zwyczaj stary, jak rodzaj ludzki, uznawany przez wiernych i niewierzących. Choćby za życia nikt mu się nie kłaniał, nikt nie zwracał nań uwagi, to umarłemu człowiekowi wszyscy oddają cześć.

Oddają dlatego, że w obliczu śmierci wszyscy uświadomiamy sobie naszą równość i solidarność człowiecza. Tworzymy jeden rodzaj ludzki, wszvstkich nas spotyka ten sam los. Śmierć nie zna mądrych, ani głupich, uczonych, ani prostaków, możnych, ani ubogich. Donóki zmarły należał do ludzi żywych, nieieden był od niego wyższv ranga, zajmował górujące nadeń stanowisko, nie uchylił więc przed nim czoła. Od dziś jest inaczej. Postaci rzeczv w niczem to nie zmienia, czy zmarłego wyniosa z pałacu, czy z ubogiej lepianki. Każdy czuje się mu równym. Na miejsce wiecznego spoczynku odchodzi tylko — c z ł o w i e k. Znikają tytuły i zmarłemu człowiekowi ludzie oddają cześć.

Owszem, jest on nawet czemś wyższem w oczach ludzi żywych. Odchodzi od nich człowiek, który dokończył już dzieła swego życia. Wszyscy pozostali czują się wobec niego, jak ludzie jeszcze nieukończeni, jeszcze niepełni, zatem niżsi od niego. Otacza go nadto tajemniczość. Ciało jego wraca do ziemi, z której powstało, ale było ono piastunem duszy, towarzyszem jej nierozdzielnym i na ducha zmarłego oddziaływało wybitnie. Kiedyś ma razem z duchem martwychwstać. Teraz odchodzą w tajemniczą dal: — i ciało i dusza. Biorą niejako na siebie niesamowite, wielkie znamię, wzniosły stygmat życia zagrobowego, przyoblekają majestat wieczności. Toteż idą, wywyższone symbolicznie w trumnie — ponad tłumy, jakby na tronie człowieczeństwa.

I człowiekowi ukończonemu, wyższemu, tłumy ludzi oddają cześć.

Oddajemy cześć odchodzącemu, znanemu i nieznanemu, częstokroć nie zgłębiając nawet, czy dzieło jego życia jest dobre, czy złe, czy pozostawia po sobie ślady głębokie, lub nieznacne i płytkie. Czasem o zmarłym wiemy cośniewielkiego, najczęściej nie wiemy wszystkiego. Jedno tylko wiemy, że zmarły zabiera z sobą wszystkie swoje nadzieje i te, które w nim inni pokładali, że dziełem swego życia wpływał na naszą terażniejszość i przy-

szłość. Mniejszy lub większy, zawsze pozostawił dorobek, z którego żyją potomni.

A potomni żyją zarówno z dobrego, jak złego dorobku tych, co odeszli. Jeżeli dorobek jest zły, będzie on nauką i przestrogą, jak unikać zła w przyszłości. Jeżeli był dobry, jeśli duch zmarłego stale dążył po drodze pozytywnych, ludzkich wartości, zwłaszcza wartości wielkich, to wznosić mu będą pomniki. Najwspanialszym dorobkiem doczesnym człowieka, jest pamięć o nim i o jego czynach, żyjąca w duszach bliźnich.

Cześć oddajemy ciału zmarłego, ale czcimy przede wszystkim duszę. Jej dziełem było całe życie zmarłego. Píše Pascal: „Tak wysoko cenimy duszę ludzką, że nie możemy znieść, by nas nie szanowała, by nas lekceważyła dusza bliźniego. Całe szczęście doczesne człowieka polega na tem poszanowaniu... Nawet ci, którzy najwięcej pogardzają ludźmi, przyrównując ich do zwierząt, pragną jednak ich podziwu, ich wiary... Natura silniejsza ponad wszystko przekonywa ich o wielkości duszy. Dobry człowiek chce żyć w duszy bliźniego, a wie, że to życie zdobyć może tylko służeniem mu zgodnie z przykazaniem Bożem o miłości bliźnich”.

Ale i ten co siebie tylko miłował, pragnie żyć w duszach tych, którymi pogardzał i których nadużywał dla zaspokojenia swych ambitnych, samolubnych celów. I on nie może się pogodzić z myślą, by dobra pamięć o nim wygasła w duszy bliźnich. Niejeden radby gwałtem zdobyć sobie miejsce w duszy bliźniego, kupić sobie ten najpiękniejszy w całym świecie zakątek — serce ludzi. Wysiłki takie pozostają bezcelowe. Śmierć daje świadectwo prawdzie. Przekreśla złą pracę duszy człowieczej, unicestwia wszelkie mirażv. Na piedestał wyprowadza tylko trwałe dorobek moralny, owoc miłości Boga i bliźniego, owoc ukochania dobra wspólnego wszystkim. Wobec tych wartości szczybi się kosa śmierci. Cześć oddawana odchodzącej, wielkiej a dobrej duszy, przetrwać umie dzień pogrzebu, przetrwać umie wieki.

Śmierć dla niewierzących to tajemnica, pełna grozy i rozpaczv. Ale wierzący chrześcijanin zna jej treść. O jedno tylko z lękiem pyta, zresztą patrząc ufnie w jej bramy, czy ten, co odchodzi, będzie zbawiony, czy potępiony. Kroczyliśmy wszyscy w życiu wąską ścieżką. Po jej obu stronach głęboka przepaść. Człowiek dobiega kresu ścieżki żywota, jakież go spotka los? Co on teraz myśli o ziemskim swem przeznaczeniu? Coby nam powiedział, gdyby mógł stanąć między nami? On, jeden z nas, którego los na wieki przesądzony, dowiedział się już co jest wieczne światło i wieczna noc, poznał największą tajemnicę życia ludzkiego. Wszystkie razem uniwersytety świata nie udziela tej wiedzy, którą dusza zmarłego już posiadała. Zna bezwzględna prawdę o życiu i śmierci.

Dlatego pełni powagi, zadumy — nad zmarłymi i nad samym sobą, człowiekowi wiecznemu oddajemy cześć.

Jan Czar.

wskazała natura i sumienie. Słusznie powiedział niedawno pewien młody komunista:

„Idziemy do nieprzewidzianych dziś jeszcze zmian. Kto wie, czy cierpienia straszliwe, jakie Rosja przeżyła, nie pełną nas znnowu w objęcia praw Bożych, które za-

wsze zwyciężają. Dusiliśmy się w atmosferze mechanizmu zbiorowego. Dziś pragniemy więcej radości, więcej pokarmu dla ducha i spokoju dla starganych nerwów. Dlatego dążymy do rodziny”. (Por. Rundt: „Sowiety tworzą nowego człowieka”).

Reg.

CZYN POLITYCZNY I. J. PADEREWSKIEGO

Wielcy artyści nie tylko zdobywają laury dla ozdoby własnego czoła, ale również przysparzają sławy swemu narodowi. Nieczęsto się jednak zdarza, by wielki artysta w swej pracy duchowej ani na chwilę nie zapomniał, że jego artystyzm jest apostołstwem imienia Ojczyzny wśród obcych i by w dobre rozstrzygnięcie dziejowych odegrał rolę pierwszorzędną w zdobyciu dla tej Ojczyzny bytu niepodległego. Było to jednak udziałem Ignacego Jana Paderewskiego, światowej sławy artysty, a jednocześnie męża stanu odrodzonej politycznie Polski.

Genjalny muzyk, podbijający swym urokiem osobistym stolice obu półkuli, niezrównany mistrz tonów, był zawsze swego rodzaju ambasadorem nieistniejącej wówczas politycznie Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, pogrzebanej pozornie na zawsze. Reprezentował polskość w sztuce na najwyższych szczytach artystyzmu. Przypominał władcóm i możnym tego świata, że Polska i naród polski, do którego należy, żyją i domagają się dla siebie sprawiedliwości. Wśród największych swych triumfów w Paryżu, Londynie, Petersburgu czy w Nowym Yorku Paderewski nie omijał nigdy sposobności podkreślenia, że jest Polakiem. Stał się wyrazicielem najszlachetniejszego rodzaju patriotyzmu polskiego, bojownikiem bezinteresownego ukochania matki — Polski.

W dobie, gdy ucisk był największy, gdy zachodnie dzielnice Polski, zdawało się, skazane są na zagładę i zniknięcie w morzu niemieczyzny, gdy losy tej ziemi, kolebki naszego narodu, uzmysławiał najwymowniej słynny „wóz Drzymały”, Paderewski, wzorem Sienkiewicza, który, tworząc swą trylogję, czynił to „dla pokrzepienia serc”, z okazji 500-lecia bitwy grunwaldzkiej, wznosi w Krakowie własnym sumptem wspaniałą pomnik Władysława Jagiełły, by przypomnieć rodakom dni chwały i zwycięstw, by dać im nadzieję, iż pomimo wszystko karta historii może się jeszcze odwrócić.

Odsłaniając pomnik grunwaldzki w 1910 roku, w obecności przedstawicieli wszystkich dzielnic, nie omieszkał Paderewski podnieść w swej mowie, że dzieło to „nie powstało z nienawiści”, lecz „z wielkiej miłości do rodzinnego kraju... z natchnienia dawnej potęgi i chwały”. „Jest naszym pragnieniem — mówił — by wszyscy Polacy... nazwali na ten pomnik jako na znak zjednoczenia w przyszłości... zapowiedź lepszych czasów”.

Trudno było wówczas mówić wyraźniej. Ale cała Polska zrozumiała znaczenie słów wielkiego patrioty. Naród, w miarę zbliżania się wojny światowej, żył jak gdyby w przeczuciu dnia odrodzenia, a pomnik grunwaldzki stał się w tych warunkach symbolem zbliżającego się Jutra.

Właściwa jednak praca polityczna Paderewskiego zaczęła się dopiero po wybuchu wielkiej wojny. Burza dziejowa zastała go w jego posiadłości szwajcarskiej w Riond Bosson, w pobliżu Morges. Znajdując się w kraju neutralnym, miał Paderewski całkowitą swobodę ruchów. Szwajcarja, pielęgnująca tradycję życzliwego stosunku do polskich zmagających wywoleńców, wkrótce stała się ośrodkiem polskiej akcji pomocy ofiarom wojny oraz zabiegów politycznych, mających na celu poruszenie z martwego punktu sprawy Polski. W Szwajcarii ogniskował się więc polski ruch polityczny, niezależny od takich czy innych wpływów ubocznych.

W owym okresie wśród stronnictw polskich wybitną rolę odgrywał „Komitet Narodowy” z siedzibą najpierw

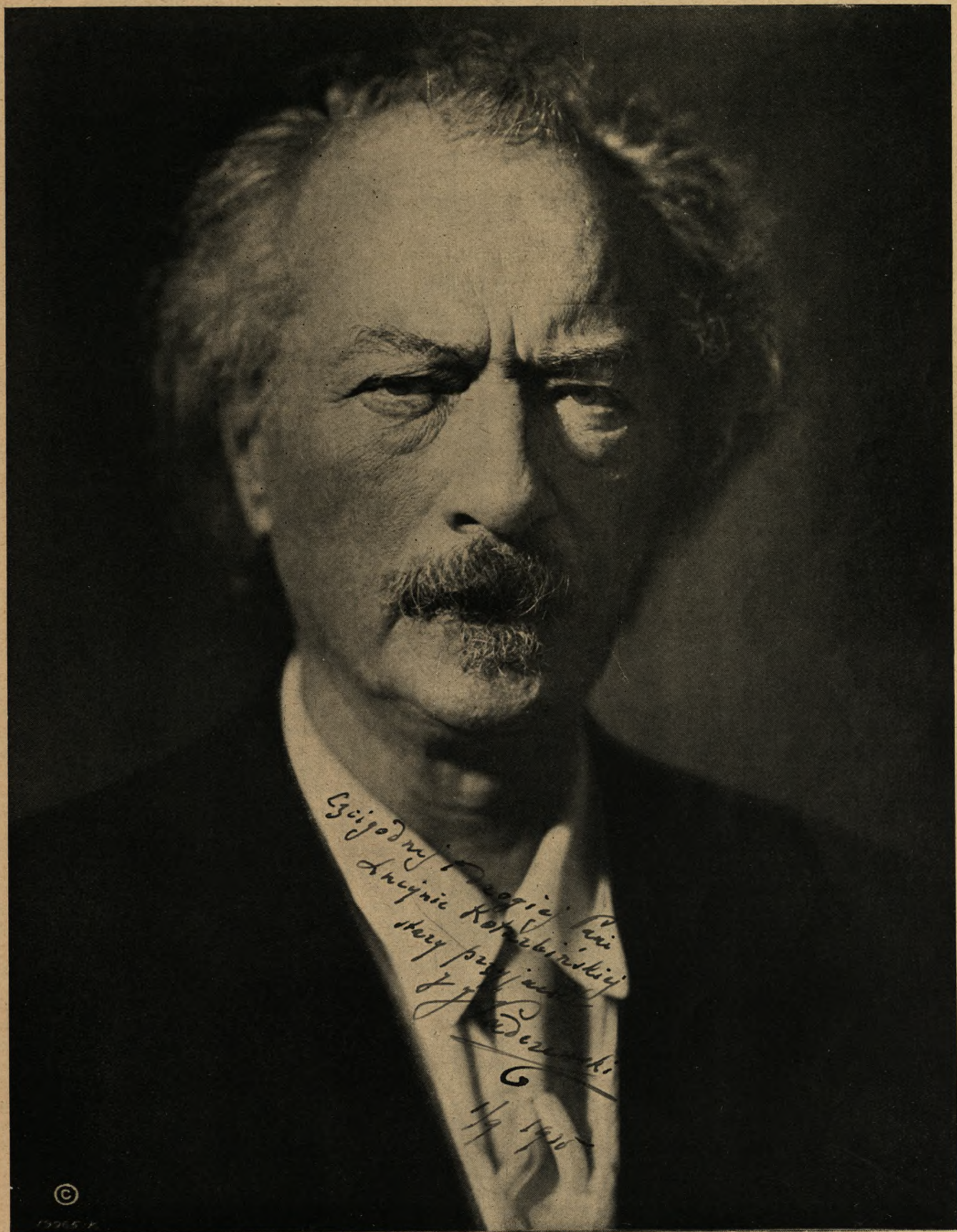
w Warszawie, a następnie w Petersburgu. „Komitet Narodowy” działał również i na terenie szwajcarskim, reprezentując politykę proaliantką, t. zw. orientację zachodnio-europejską. Na czele „Komitetu Narodowego” stał Roman Dmowski. W 1917 roku „Komitet” ten mocarstwa sprzymierzone uznały za legalną reprezentację Polski. Paderewski został mianowany delegatem „Komitetu Narodowego” na Stany Zjednoczone A. Pół., gdzie miał zdawna utrwalone stosunki, a coraz widoczniejsze było, iż głos Ameryki będzie miał znaczenie rozstrzygające o losach wojny.

Paderewski udał się więc do Stanów Zjednoczonych. Bez wahania można powiedzieć, iż był on w ojczyźnie Waszyngtona najpopularniejszym i najsympatyczniejszym cudzoziemcem, a to swoje znaczenie umiał wyzyskać na korzyść swego narodu. Przed podróżą za ocean nie omieszkał odnowić stosunki towarzyskie w Anglii i przyczynić się do powstania w Londynie polskiej organizacji propagandowej. W Ameryce Paderewski urządza liczne swe koncerty, połączone z przemówieniami na temat sprawy polskiej. Nie tylko zbiera w ten sposób poważne środki materialne na pomoc ofiarom wojny w kraju, ale jednocześnie porusza szeroką opinię amerykańską. Dzięki Paderewskiemu, Polska i sprawa jej odbudowy stają się wśród Amerykan tak popularne, jak nigdy dotąd. W 1916 r. Polacy amerykańscy wybierają go swym przedstawicielem i upoważniają do występowania w ich imieniu w sprawach politycznych. Przewidując udział Stanów Zjedn. w wojnie światowej, Paderewski zachęca młodzież polską do wstępowania do szkół wojskowych, przyczyniając się do tworzenia w ten sposób kadr oficerskich przyszłej armii polskiej. Po przystąpieniu zaś Ameryki do akcji wojennej nawołuje rodaków do broni.

Stosunki osobiste pozwalają wielkiemu artyście dostać się do Białego Domu i zbliżyć się do ówczesnego prezydenta Woodrowa Wilsona. Z biegiem czasu, przy pomocy pułkownika House, przyjaciela prezydenta, udaje się mu przekonać głowę wielkiej republiki zaatlantycznej o konieczności odbudowy Polski z dostępem do morza. W styczniu 1917 roku, po ponownym wyborze na prezydenta Stanów, Wilson wygłasza urzędownie następującą deklarację: „Wszędzie mężowie stanu są zgodni, że będzie Polska zjednoczona, niepodległa i niezależna”. W rok później sprawa wskrzeszenia politycznego Polski ujęta została w osobnym 13 punkcie słynnych „punktów wilsonowskich” o celach wojny. Ameryka, czynnie walcząca z koalicją niemiecką, powiedziała niedwuznacznie swe ważne słowo.

Po zawarciu rozejmu, w końcu 1918 roku, Paderewski udaje się do Europy. W Paryżu wspólnie z innymi członkami „Komitetu Narodowego” układa memoriał dla Konferencji Pokojowej. Następnie udaje się do Londynu, gdzie porozumiewa się z angielskimi politykami, a przede wszystkim z Balfourem, który ponownie zapewnił go, iż „wszyscy chcą niepodległości Polski”.

Trzeba było jednak myśleć o reprezentacji Polski na Konferencji Pokojowej w Wersalu. Zachodziła tu trudność, iż sprzymierzeńcy nie uznawali Rządu polskiego w Warszawie i „Komitet Narodowy” w Paryżu nie uchodził również za odpowiedzialny rząd polski. W tych warunkach słowa Balfoura, wypowiedziane do Paderewskiego: „Chciałbym, aby Pan pojechał do Polski i zjednoczył serca polskie”, nabierały szczególnego znaczenia.



Ignacy Paderewski

Najdogodniejsza droga do Polski prowadziła wówczas przez Gdańsk i Poznań. Paderewski pragnął ją odbyć na pokładzie wojennego okrętu angielskiego. Balfour zalecał jednak podróż przez Niemcy pod eskortą wojskową. Jednakże w końcu uległ i umożliwił Wielkiemu Polakowi odbycie tej podróży na pokładzie krążownika J. K. Mości „Concord”. W dzień Bożego Narodzenia stanął Paderewski w Gdańsku. Dalsza zaś podróż do Poznania nie odbyła się bez trudności. Niemcy starali się bowiem zapobiec zatrzymaniu się Paderewskiego w Poznaniu.

W Wielkopolsce nastrój antyniemiecki dochodził do najwyższego napięcia. Z przybyciem zaś Paderewskiego ludność polską ogarnął nieopisany entuzjazm. Prowokacyjne zaś ostrzeliwanie hotelu „Bazar”, w którym zatrzymał się Paderewski, przyspieszyło wybuch powstania i rozbrojenia Niemców. Gdy w parę dni potem wjeżdżał Paderewski do Warszawy, był już nie tylko wysłannikiem „Komitetu Narodowego” i Sprzymierzeńców, ale i bohaterem narodowym...

Na wewnętrznym horyzoncie ówczesnej Polski błyszczała już gwiazda Józefa Piłsudskiego, Naczelnika Państwa. Pierwsza próba porozumienia pomiędzy Piłsudskim i Paderewskim pozostała jednak bez wyniku. Obaj mężowie ci reprezentowali dwa różne światy. Trudno im było znaleźć język wspólny, choć serca obu jednakowo miłowały i naród i ziemię polską...

Dowiedziawszy się, że w Warszawie przygotowywany jest zamach stanu i że spiskowcy pragną wciągnąć go do swej akcji, Paderewski, żywiąc wstręt do wszelkiej konspiracji, natychmiast wyjechał do Krakowa. Jak wiadomo, zamach ten (ks. Sapięhy i tow.) nie udał się i został zlekceważony przez Piłsudskiego. Paderewski zamierzał zaś udać się z Krakowa na Węgry, by czynić tam starania o przekazanie Polsce części zapasów wojennych, zgromadzonych tam przez Aliantów. Podróż ta nie doszła do skutku, gdyż w Krakowie zjawił się gen. Szeptycki z rozkazem Naczelnika Państwa, wzywającym Paderewskiego do Warszawy.

Piłsudski polecił mu utworzenie nowego gabinetu. Nowy premier utworzył rząd bezpartyjny, starając się zjednoczyć koło swej osoby ludzi dobrej woli, rozumiejących doniosłość historyczną chwili. Paderewski w rządzie tym był premierem, ministrem spraw zagranicznych i delegatem na Konferencję Pokojową. Wiadomości o rządzie Paderewskiego powitano na Zachodzie przychylnie i niebawem wielkie mocarstwa urzędowo uznały istnienie niepodległego Państwa Polskiego...

Za rządów Paderewskiego otwarty został pierwszy Sejm ustawodawczy, zwołany przez Piłsudskiego. Kraj pełen był jeszcze wrzenia i gry ambicji stronnicych. Do Polski pozatem przenikała propaganda komunistyczna i stosunki ze wschodnim sąsiadem pełne były niepewności... Trzeba było myśleć o pomocy zubożałym masom, cierpiącym skrajny niedostatek i nieraz głód. Wreszcie doczekano się wielkich partij żywności, nadesłanych z Ameryki. Rząd musiał troszczyć się również o wojsko, któremu brakło najistotniejszych nieraz części ekwipunku... Łatwo było załamać się pod ciężarem obowiązków i piętrzących się zewsząd przeciwności...

A jednocześnie trzeba było nie zaniedbywać Konferencji Pokojowej, na której toczyła się walka o granice

Polski, szczególnie o Gdańsk i Śląsk, Spisz i Orawę. Najpoważniejszym przeciwnikiem uwzględnienia życzeń Polski w tym zakresie był angielski minister spraw zagr. Lloyd George. Mimo wysiłków „Komitetu Narodowego” i osobistych starań Romana Dmowskiego, sprawa komplikowała się coraz gorzej. Na terenie Konferencji zaczęły zwyciężać wpływy międzynarodowe, wrogie Polsce, znać było zwłaszcza rękę finansjery żydowskiej, pozostającej w bliskim kontakcie z Lloyd Georgem.

Przyjazd Paderewskiego z Warszawy poprawił sytuację. Osobisty urok polskiego premiera, szlachetność jego poglądów i siła jego argumentacji — zrobiły swoje. Zmiękł nawet Lloyd George, a „stary tygrys” Clemenceau stał się przystępniejszy i wyrozumialszy. Wprawdzie nie ostały się w całości wytyczne komisji do spraw polskich Julesa Cambona, jednakże Polska odzyskała i Poznańskie, i Pomorze i prawo do Gdańska. O losach Śląska i Mazurów Pruskich miał zdecydować plebiscyt... Granice wschodnie pozostały jednak nieuregulowane.

Dnia 28 czerwca 1919 r. Paderewski położył swój podpis obok podpisu Romana Dmowskiego pod traktat pokojowy. Spełniły się sny całego zycia...

Tymczasem w Polsce czekały Paderewskiego nowe trudności. Stosunki między premierem a Naczelnikiem Państwa nie były idealne. Nie rozumieli się w dalszym ciągu. Paderewski zapatrzony był w stronę Zachodu, ważąc rolę mocarstw zwycięskich w kształtowaniu dalszych losów Polski, stawiającej pierwsze kroki na drodze swej samodzielnosci, Piłsudski hołdował innym idealom i innej polityce. Śnił o otoczeniu Rzeczypospolitej od Wschodu przez szereg państw buforowych...

Stosunki z Sejmem nie układały się również pomyślnie. Najliczniejsze stronnictwo (narod. dem.) odmówiło mu wreszcie poparcia. Zarzucano premierowi różne uchybienia, a przedewszystkiem otaczanie się nieodpowiednimi ludźmi. Wszystko to dręczyło i zniechęcało Paderewskiego. Siły opuszczały go nieraz, ale trwał na stanowisku, licząc na przewyciężenie swych antagonistów, nierozumiejących jego najszlachetniejszych usiłowań i widzających je w innym świetle. W końcu powstały różnice zdań i w samym gabinecie, który zaczął się rozpadać. Stawało się rzeczą jasną, że rząd nigdzie nie może liczyć na poparcie. Paderewski zgłosił więc dn. 27 listopada 1919 roku dymisję swego gabinetu. Naczelnik Państwa polecił mu ponowne tworzenie rządu, choć wiedział dobrze, iż misja ta w ówczesnych warunkach udać się nie może. Po bezowocnej próbie, Paderewski, znużony i rozgoryczony, wyjechał do Szwajcarii do swej willi w Riond Bosson. I od tej chwili Wielki Polak i artysta pozostaje zdala od polityki...

Dziś wszyscy zdajemy sobie sprawę z ogromu pracy I. J. Paderewskiego, dokonanej w dobie wojny światowej i w okresie Konferencji Wersalskiej. Nie pomniejszając zasług innych naszych mężów stanu, ze czcią najgłębszą każdy uczciwy człowiek schyla głowę przed czynem politycznym Paderewskiego i wymawia jego nazwisko z szacunkiem. Historia, sprawiedliwy sędzia, bardziej jeszcze oceni szlachetność i bezinteresowność pobudek Wielkiego Polaka i jego wytrwałość w dążeniu do realizacji przewodniej myśli całego jego pięknego zycia: Polska zjednoczona i niepodległa.

Janusz Rawicz.



W DOMU J. IGNACEGO PADEREWSKIEGO

Zaszczycona wyborem Zarządu, jechałam do Szwajcarii, jako delegatka Ligi Morskiej i Kolonjalnej do Pana Prezydenta Ignacego Paderewskiego, członka honorowego naszej instytucji, do którego, zresztą, z każdego walnego zebrania, zawsze na wniosek generała Orlicz-Dreszera, gorącymi oklaskami przyjęta, wysyłana jest depesza.

Misja ta łechtała niezawodnie moją ambicję, ale nie mogło się to uczucie mierzyć z radością serca, że mi danem będzie znaleźć się w promieniu Człowieka, z którym oddawna łączy mnie więcej niż znajomość, bo wiele chwil dobrych, ale i złych i bolesnych wspólnie przeżywanych, co wiąże ludzi wspomnieniami niezatartymi w pamięci, a owianymi zawsze wielkoduszną szlachetnością i niewyczerpanym urokiem, jakim emanuje dusza Paderewskiego — nazewnątrz.

Ale, ile czci, ile miłości i wdzięczności, jako Polka, miałam zawsze do tego Wielkiego a najlepszego Syna naszej Ojczyzny, tyle w tej chwili, po długich latach niewidzenia, mimo poczucia szczęścia, że Go zobaczę, doznawałam jeszcze jakiegoś nieopisanego jakby lęku, płynącego może z powagi chwili, a niezawodnie i z tego onieśmienia, jakiego każdy doświadcza, umiający ocenić w danym człowieku — wybrańca Boga, znalazłszy się w jego obecności.

Tymczasem! Na pierwszą wieść, przez telefon zgłoszoną, z hotelu Mont-Blanc w Morges, w którym stanęłam, miałam echo w osobach pań Heleny Lübke i Anieli Strakaczowej, które z pękami kwiatów, serdecznym powitaniem, przywoływały także przemiłe słowa: „Pan prezydent prosi — na śniadanie”.

Prastary park, parusetletnie lipy, świerki, jodły, araukarje, olchy i wierzyby płaczące nad stawem, łuki kwitnących pnączy, wspaniałe karły w owocowym ogrodzie, obwieszane obfitym plonem, brzoskwinie i winne grona, dojrzewające w stumetrowej szklarni, wspaniały sad i kwiatów dywany, wszystko to, pod fachową pieczą p. Doleżała, w należnym stoi dosyć i razem stanowi otoczenie pałacu, tonącego znów w olbrzymich kiściach hortensji przy zajeździe i setkami róż ze strony tarasów, ponad którymi rozciąga się widok na szafirowe wody Lemanu, łańcuchy gór ze śnieżystymi głowami i nad wszystkim, srebrzystym w słońcu lodowym szczytem Mont-Blanc.

A kiedy z tarasu oko rozkoszuje się tym widokiem — ktoś mówi — „Pan prezydent w salonie”,

wchodzę i witają mnie — otwarte ramiona Gospodarza. Kochałam Jego Żonę. Z łez, jakie miał w oczach, co także widziałam przez zły, wiedziałam o czem myślał w tej chwili.

Ale z tym uściskiem — minął mój lęk. Zostało tyl-



I. Paderewski przy fortepianie

ko pragnienie, żebym tak była co dnia witana, co się też na radość moją — ziściło.

* * *

Współrzędnie ze mną jechała do Riond-Bosson świetna nasza miniaturzystka p. Kazimiera Dąbrowska, która uzyskała zgodę pana Paderewskiego na zrobienie szkicu do miniatury, nad którą już w tej chwili, o ile wiem — pracuje w Warszawie. Pan Paderewski — nie pozował.



P. L. Kotarbińska u p. I. Paderewskiego (po Jego prawej ręce)

Po śniadaniu, jak zwykle, z domownikami, często z panem Opieńskim, dawnym znajomym z Warszawy, zasiada do partyjki bridża, a panna Kazimiera ze swą teczęką cichutko ulokowała się wprost niego i... w dwadzieścia minut, wśród których jedna tylko była rozmowa.

— Pan prezydent zechce teraz łaskawie zrobić do mnie oko, z uśmiechem proponuje artystka.

— Kiedy tego właśnie nie umiem, patrząc na nią, odpowiadają.

— Już mam dosyć — dziękuję, i, za chwilę oddaje Mu do rąk piękny rysunek.

Żaden portret, jakich w domu jest wiele, z Bern Jonsem, na czole, nie uchwycił tej głębi myśli u czoła i nie wydobył tyle duchowej treści tej pięknej głowy, jak to uczyniła w swym ołówkowym szkicu panna Dąbrowska.

Wielkopańska też za to spotkała ją nagrodą.

Jest ósma wieczór. Za chwilę obiad. Zbieramy się w salonie. Wchodzi Mistrz i bez słowa — siada przy fortepianie. Oddechy się wstrzymały. Cisza. Impromptu — Schuberta — nutka za nutką płyną spod palców — Mistrza.

Zdaje mi się, że popełniłabym jakieś świętokradstwo, gdybym słowo w tem miejscu dodała.

* * *

Rezydencja w Riond-Bosson, zorganizowana na książęcą miarę.

Duży trzypiętrowy pałac, ma na parterze cztery reprezentacyjne salony. Wielki hol, z portretami Pana i pięknej Pani domu, szafami oszklonemi, pełnemi okazów wspaniałej chińskiej sztuki, wygodnemi meblami w dwu rogach pokoju, szerokie wejście prowadzi do salonu, gdzie królują dwa fortepiany, jeden makatą, drugi nakryty słuckimi pasami, a na nich dziesiątki podobizn, wśród których, poza wizerunkiem Ojca świętego z wyrazami błogosławieństwa, króla i królowej belgijskich, każde znane wielkie imię od Focha, Petaina, Joffra i t. d. jest obecne i dokumentowane wyrazami najwyższego hołdu, przyjaźni, dla Człowieka, Polaka, patrioty i „wskrzesiciela swej Ojczyzny”.

Na lewo salon, gromadzący, znów w oszklonych narożnych szafach, niezliczone trofea — Artysty, srebrne wieńce, odznaczenia, pamiątki. Na prawo olbrzymia sala jadalna, gdzie tylko jeden obraz — to tryptyk Malczewskiego. Chrystus pośrodku, po prawej więzień polski, po lewej rosyjski z twarzą cara Mikołaja. Co za prorocstwo — artysty!

I jeszcze jest ktoś w tym salonie. Mała wiewióreczka — Caro — która biegnie po stole, zbiera okruszyny, spocznie na chwilę na czyjś ramieniu i skokiem wraca do swego koszyczka — pieszczoch całego towarzystwa, które niemal zawsze stanowi, conajmniej dziesięć osób. Dom prowadzi Szanowna Pani Wilkońska, siostra Mistrza, pozatem stałym towarzyszem pana Paderewskiego jest pan Sylwin Strakacz, serdeczny towarzysz, sekretarz i nieodstępny przyjaciel Mistrza. Małżonka pana Strakacza, pani Aniela, wraz z córeczką Anetką, właśnie kończyły pobyt wakacyjny w Riond-Rosson. Szanowna pani Lübke i córka jej Helena, która do końca dni pielęgnowała ukochaną panią Prezydentową, i pozatem gości ze wszystkich stron świata — bez liku.

Ktoś z Londynu, ktoś z Paryża, ktoś z Ameryki — córka Morgana z trogiem dzieci, które pragnie przedstawić panu Paderewskiemu, tak co dnia. A jeszcze i kolega — artysta-muzyk, z którym dużo jest do mówienia przy zamkniętych drzwiach i otwartej klawiaturze. Pan Turczyński, powie nam coś o tem, przy pierwszym koncercie, na którym zagra sonatę — Mistrza.

Pierwsze piętro, to środkowy pokój Zmarłej, zestawiony w nietkniętej formie. Sypialnia i gabinet Panna, w którym znów fortepian i pianino, duży stół i na nim książek całe stosy. Wyższe piętra — to domownicy i służba, której jest liczny zastęp, wraz z emerytami.

Ogólnie w domu panują: fortepian, obrazy obcych i swoich mistrzów: Malczewski, Wyczółkowski, Fałat, Kossak, Chełmoński i... książki. Biblioteka starannie prowadzona. Pozatem, wszędzie, gdzie coś leżeć może, to leżą pięknie oprawne wspaniałe wydawnictwa, książki, bieżącej literatury, których moc we wszystkich językach ze słowami najwyższego hołdu i podpisami autorów. Między innymi czytałam także dokument cenny od miasta Lozanny, nadający miano honorowych obywateli pani Helenie i panu Ignacemu Paderewskiemu, z wyrazami najwyższego uwielbienia dla wielkiego patrioty i sławnego Artysty.

Czy mi się zdawało, czy nieuważnie patrzyłam, ale może najmniej dedykacyj polskich. Pewno mi się zdawało.

* * *

Do Szwajcarii jechałam z misją złożenia należnego hołdu i wyrazów czci dla Członka honorowego Ligi Morskiej i Kolonjalnej. Nie sięgałam do Jego kieszeni. Prosiłam Go o dobre słowo przy każdej sposobności, których nie będzie brak, dla naszej działalności. Program nasz Mu skreśliłam. Prosiłam o to słowo, którego wagę znam i wiem ile znaczy na całym świecie.

— Że wagę morza dla Polski doceniam, dałem tego dowód wtedy, kiedy był pisany paragraf Wilsona — powiedział mi Paderewski.

A potem pytał o budowę łodzi podwodnej imienia Marszałka Piłsudskiego i inne sprawy związane z naszą działalnością, odnosząc się do nich przychylnie. Długa rozmowa pełna szczegółów o teraźniejszości i wspomnień przeszłości — była poważna. Prośby zaniezionej — nie odrzucił.

* * *

W podkreśleniu tak mi się utrwaliły moje wrażenia:

Rezydencja książęca. Formy wykwintne. A prostota kmiecia piastowego i serdeczność dworu ojców naszych. Potrzeba czynienia ludziom dobrze.

Urok rozsiany po całym domu i pogoda. Równowaga myśli, umiar w sądzie. Ból w zmarszce u czoła, a przytem nieraz żart i dowcip wykwintny. Umiejętność podporządkowania otoczenia swego tej harmonji, której jest pełna cała Jego Istota wraz z powagą godnie piastowanego człowięczeństwa.

Pięć dni, spędzonych w domu tego Czarodzieja, słodzić mi będą długie chwile najpiękniejszymi wspomnieniami i wrażeniami, które dać może tylko Wielki Człowiek.

L. Kotarbińska.

ZADAC WSZEDZIE



**NAJWYDAJNIEJSZE
NAJTRWALSZE
IDEALNE w UŻYCIU**

*to nici do
cerowania i szycia*

TRZY LILJE

NA STARYCH SZLAKACH GRANICZNYCH

Grube, podkute, turystyczne buty, wygodne proste ubranie, którego nie potrzeba oszczędzać, ciężar plecaka — ciągnący w tył ramiona — i człowiekowi się zdaje, że nie istnieje dla niego zbyt stroma górską ścieżka, lub zbyt daleka odległość do przebycia.

* * *

Tak właśnie wyruszyliśmy we troje z Zakopanego — w góry — mając przed sobą 9 dni upragnionej, dawno ułożonej włóczęgi pieszej, o której myśl — ułatwiała nam długie godziny nauki do egzaminów czerwcowych.

Nieznaną dałą ciągnęły nas ku sobie góry, białe, pyłne szosy, miasta i wieś jak paciorki nawleczone na niebieską nitkę rzek i strumieni (tak wyglądało to na mapie).

Droga nasza wiodła początkowo utartym szlakiem tatrzańskim przez Boczan na Halę Gąsienicową, a dalej przez Zawrat, Dolinę 5 Stawów, Świstówkę i Opalone do Morskiego Oka. Na szczęście zaczęliśmy naszą wycieczkę na 4 dni przed Świętem Gór — dzięki temu pusto było zupełnie na uczęszczanych zwykle ścieżkach. Byliśmy sami w górach — wokół nas stał cicho mur szaro-zielonych skał, pokryty niżej ciemnymi plamami kosówki, okalającej granatowe lustra stawów.

Drugiego już dnia wieczorem przekroczyliśmy granicę polsko-czechosłowacką na Łysej Polanie, aby po czterech dniach — przeszedłszy dolinę Jaworową i Kieżmarską — Tatry czeskie, a potem Spisz — powrócić do Polski w Pieninach i marszem przez Gorce w kierunku na Nowy Targ — zakończyć naszą wyprawę. Szczególnie dobrze wbił się nam w pamięć nasz pobyt w Słowacji.

Mając niewiele pieniędzy do rozporządzenia, staraliśmy się urządzać jaknajtaniej, nocując w stodołach lub na strychach na sianie, a śniadanie i kolację gotowaliśmy razem z naszymi gospodarzami we wspólnej izbie. W czasie naszej włóczęgi — zetknęliśmy się więc z różnymi ludźmi dość blisko, zawierając znajomość z wieśniakami, mieszkańcami miasteczek i robotnikami. Pozwoliło nam to — zorientować się trochę w życiu, zwyczajach i poglądach Słowaków.

Uderzyło nas przede wszystkim to,

że z zazdrością mówią o tych swoich braćciach, którzy zostali po polskiej stronie. Na każdym noclegu słyszeliśmy skargi na ciężkie warunki bytu w Słowacji, wypytywano nas — o cenę chleba, o zamożność, o wysokość podatków. „O! u was to lepiej, znacznie łżej”, kiwali głowami na nasze wyjaśnienia.

Słowacy mają bardzo silne dążności separatystyczne — o Czechach mówią źle i nie uważają ich za rodaków. Stąd — płynie ich przyjaźń dla Polski. Na pierwszym zaraz noclegu zwróciła naszą uwagę ustawiona na poczesnym miejscu fotografia siwego, uśmiechniętego księdza, o czarnych, żywych oczach i pięknej, inteligentnej twarzy. — Był to ks. Hlinka, poseł, przywódca Słowaków w parlamencie.

Drugą charakterystyczną cechą Słowaków jest, mimo rozpowszechnionego w Czechosłowacji bezbożnictwa — głęboka religijność.

Dwukrotnie zdarzyło się nam być na mszy, odprawianej w kościele w Słowacji.

W mglisty, deszczowy poranek — stary, poczerniały kościółek drewniany w Jaworzynie Spiskiej wydawał się jakby uśpiony wśród wielkiej ciszy Tatr. Siedzące w ławkach kobiety śpiewały podczas mszy przesmutne jakieś pieśni. Być może, że w tonie tych hymnów wyraża się niewesoła dola ludności słowackiej. Pięknie i dźwięcznie brzmiało głośno odmawiane „Zdrowaś Marja” w ich ojczystym języku.

Niedzielę, przypadającą podczas naszej wycieczki — spędziliśmy w Hali-gowcach, wsi oddalonej około godziny drogi od granicy polskiej nad Dunajcem.

W ładnym, jasnym kościele — śpiewną słowacką mową proboszcz odczytywał niedzielną Ewangelię. Po lewej stronie kobiety, po prawej mężczyźni, przed ołtarzem równiutkiem szeregiem ustawiły się młode dziewczęta — w barw-



Z żandarmami czeskimi w Kežmarku

nych, obcisłych gorsetach i bufiastych spódniczkach. Zachował się tu ciekawy zwyczaj: po dzwonku na Ofiarowanie, kolejno, wszyscy, usta-



Uliczka w Kežmarku

wieni długim rzędem — obchodzą ołtarz dokoła, gdzie, całując krzyż, składają na tacy drobne ofiary. Nikt nie uchyla się od tego, więc i my po-



Rodzina pp. Macurów w Białej Spiskiej



Czeski dróżnik szosowy



Nad Zelenem Plesem



W muzeum keżmarskiem

sześliśmy za przykładem innych. Nie mogliśmy się oprzeć wrażeniu, jak podobny jest ten zwyczaj — do składania osobistego ofiar — przez pierwszych chrześcijan.

Najlepiej może jednak zajrzeć bliżej do życia słowackiej rodziny, podczas naszego noclegu w Białej Spiskiej (Spiska Běla). Zaproszono nas mile — do stojącego na samym krańcu miasteczka, jednego z bliźniaczych domków robotniczych, tonących w prześlicznych, kwiatowych ogródkach. Miła, młoda jeszcze kobieta, którą zastaliśmy gawędzącą z sąsiadką przed progiem — wprowadziła nas do dużej, dość zamożnie urządzonej izby.

Cała rodzina — złożona z ojca, matki, babki i sześciorga zabawnych małych dzieci, powiększona jeszcze przez znajomych i sąsiadów, którzy nibyto z różnemi sprawami przychodząc, ciekawi byli gości z Polski — otoczyła nas dokoła.

Podczas, gdy uprzejmie ułatwiano nam gotowanie zupy i herbaty — potoczyła się serdeczna, swobodna rozmowa. — Musieliśmy wszystko o sobie opowiedzieć. Chciano wiedzieć nasze imiona, nazwiska, wiek, stopień spokrewnienia, pytano o stan naszych studjów i nasze rodziny...

Potem zaczęło się pokazywanie wszystkich fotografii rodzinnych, które specjalnie dla nas pozdejmowano ze ścian, a nakoniec matka przyniśła z dumą Żywoity Świętych i nową książkę o cudach w Lourdes — w języku słowackim. „Czytujemy to sobie głośno, wieczorami”, wyjaśniła, a potem opowiadała nam długo i szeroko — o swej niedawnej bytności na kongresie eucharystycznym w Pradze. I kardynała Verdier widziała, a jakże — i ołtarz z wielkim krzyżem na głównej ulicy miasta.

Konieczniewie namawiano nas, abyśmy nocowali z nimi razem, pod czyściutkimi pierzynami w różową kratkę. Woleliśmy iść spać na siano, a i dzieci też zabierały się do snu. Mały Franciszek, znakomity zawadjacki łobuz o niebieskich, wylupianych oczach, klęczał skupiony na środku izby i dziecinny, zahaczającym się głosem — ślicznie odmawiał Ojciec nasz i Zdrowaś Marja. Odchodziliśmy nazajutrz, serdecznie

żegnani życzeniami Bożej opieki na dalszej drodze.

W wycieczce naszej nie zbrakło różnych zabawnych i ciekawych zdarzeń, dodających jeszcze uroku temu wędrowaniu przez góry i doliny. Nie zapomnimy chyba nigdy drogi przez halę, zwaną „Zadnie Koperszady” w Tatrach czeskich. Ma ona wśród taterników złą sławę najmniejbezpieczniejszej ścieżki tatrzańskiej — nie z racji trudnych „przewieszek”, „kominków” lub „żlebów” (bo ich tam niema), ale spowodu byków.

Paś się tam ich setki, czerwonych i łaciatych, chodzących luzem po parokilometrowej przestrzeni. Juhasów ani śladu.

Na tem to olbrzymiem, gładkiem, zielonem zboczku, na ścieżce biegnącej wąskim paskiem w połowie jego wysokości, mieliśmy z temi bykami przeprawę. Natknęliśmy się najpierw na pojedynka. Z dziwnym uporem stał na naszej drodze, groźny, niepokojąco kołyszący się z nogi na nogę — pochyliwszy nisko kanciasty łeb.

Obeszliśmy go ostrożnie, nie zaczepiając, ale za chwilę musieliśmy ustąpić ze ścieżki i piąć się w górę po tromym stoku, bo naprzeciw nas szła ze setka byków, jeden za drugim, na podobieństwo lawiny, tocząc się wdół. Wcale nie było nam miło, gdy spoglądały tak na nas z podełba, krwią nabiegłymi oczami.

Czwartego dnia marszu, zostawiwszy za sobą na horyzoncie widniejące, płaskie, jakby na afiszu reklamowym wymalowane — Tatry czeskie, dochodziliśmy do Keżmarku. Keżmark, jedno z 13 miast spiskich, oddanych w zastaw Węgrom przez Polskę — jest prześlicznym starym grodem, z wąskimi uliczkami, przez które lekko przerzucają się kamienne łuki, ze starymi domami — i z wspaniałym, ogromnym kościołem z XV w., o precudnych gotyckich ołtarzach — średniowiecznych. Przy nim kwadratowa, przysadzista dzwonnica — zakończona renesansową attyką.

Wtem to pięknym miasteczku — zwiedzaliśmy najdziwniejsze może w świecie muzeum. Mieści się ono w starym zamku, w czterech małych sklepionych salach, o głębokich framugach okiennych. Króluje w nich kustosz, zabawny staruszek, z siwemi obwisłymi węsami, w okularach na żywych oczach, ruchliwy, fertyczny, sam jak z muzealnych okazów wyjęty.

Z wielkiem zadowoleniem pokazywał nam owe sławne zbiory, gdzie istotnie cenne i rzadkie rzeczy po-

ZŁOTY POLSKI A PRZEWROTY WALUTOWE W ŚWIECIE

W ciągu ostatnich pięciu lat ludzkość żyje pod wrażeniem ustawicznych przemian i wstrząsów walutowych. Najmniejsze wahania giełdowe czy niepewności polityczne wywołują panikę mniej lub więcej uzasadnioną i run na banki.

Zaczął się od wiedeńskiego Credit Anstaltu, największego przed wojną w Austrii banku Rotszyldów. Potem przysłała kolej na funt angielski, a po nim na drugą walutę światową — wszechwładny dolar amerykański, które pociągnęły za sobą dewaluację jednostek monetarnych w państwach północnych i południowych; ostatnio byliśmy świadkami ciekawego eksperymentu z koroną czeską, belgą i guldenem gdańskim. Dziś ogółem 13 państw w Europie ma waluty zdewaluowane, lecz najsilniej nad życiem międzynarodowym zaciążył spadek dolara i funta szterlinga.

Spadek ten odczuto także w Polsce, gdzie dolar był drugą walutą i większość transakcyj zawierano właśnie w tej obcej walucie. Trzeba było dopiero załamania się tych, zdawało się granitowo pewnych walut: amerykańskiej i angielskiej, na których ludziska potracili całą majątki, żeby się nauczyć cenić naszą własną walutę — złotego polskiego, który dzięki przezornej i ostrożnej polityce Rządów Rzeczypospolitej, nie drgnął ani na chwilę. A przyznajmy — ze wstydem — nikt nie miał do niego spoczątku zaufania.

Dziś znowu, naodwrot, o dolarze nikt słyszeć nie chce, a złoty polski, tak pierwotnie nikomu nieznan

i warty, stał się nie tylko pełnowartościową walutą polską, ale także zaczyna wchodzić na rynek międzynarodowy i w naszych złotych szereg państw zawarło już swoje transakcje.

Wobec całkowitej dezorientacji, jaka panuje obecnie na świecie, postaramy się popularnym sposobem wytłumaczyć przyczyny tego chaosu i wstrząsów, jakie przeszły i przechodzą jeszcze nad wieloma państwami.

Walutą w znaczeniu ekonomicznym jest pieniądz obiegowy wraz z całym systemem pieniężnym, ustawami i przepisami prawnymi, dotyczącymi danego pieniądza w odnośnym kraju: Polsce, Francji, Japonji, Brazylii, Argentynie i t. p.

Istnieje ogólne przekonanie, że wartość danego pieniądza, danej waluty zależy głównie czy wyłącznie od ilości złota, które znajduje się w safesie danego banku emisyjnego jako pokrycie emitowanych banknotów.

W r. 1933 chlubił się publicznie prezydent Banku Gdańskiego, dr. Schaefer, że gulden gdański miał 120% pokrycia w złocie, a dziś gulden „leży” i budzi niepokój obywateli Wolnego Miasta oraz perturbacje w handlu z Polską i z zagranicą.

Dziś kurs guldenu, równy złotemu, jest fikcyjny i nie odpowiada istotnej jego wartości wskutek obciążenia budżetu Wolnego Miasta nieproduktywnymi wydatkami politycznymi i przez zamrożenie przez Rzeszę rezerw finansowych tak banku emisyjnego, jak banków prywatnych oraz ubezpieczeń. Gulden znajduje się

mieszane są bezlitośnie z rupieciami bez żadnej wartości.

Staruszek był niesłychanie pobłażliwy. Wbrew zwyczajowi wszystkich kustoszów — nie zabraniał nam dotykania eksponatów. Przeciwnie — zachęcał nas jeszcze do tego. Wolno nam było grać na starym klawikordzie, przeglądać cudowne, w skórze oprawne inkunabuły, przywileje polskie i węgierskie. On sam fechtował się starą husycką szablą, a porwawszy z drewnianej figury żelazny szyszak rycerski, ustroił weń naszego towarzysza, wciskając mu przytem w rękę zardzewiałą halabardę.

Na zakończenie, z dumą pokazał nam rzecz, która uważał za najpiękniejszą i najbardziej podziwu godną: był to ... z drobnych literek, odpowiednio cieniowanych, ułożony — portret arcyks. Rudolfa Habsburga.

Wydawał się nieco urażony, gdy uśmieliśmy się z tego arcydzieła.

Gdy szliśmy przez półn. Spisz, napastowały nas bandy małych, dzikich cyganiątek, jak spod ziemi wyrastających na krańcach każdej wsi. Czarne, płonące oczy, straszliwe

łachmany, wychudzone ciała — i wyglądy małych zwierzątek. Witały nas zawsze jednakowo, z miłym uśmiechem: „Niech będzie pochwalony”, potem leciały za nami z pół kilometra, prosząc i jęcząc — wreszcie obrzucały nas gradem wyzwisk i przekleństw najokropniejszych, wygrażając pięściami i podnosząc nie-ludzkie wycie.

* * *

Włóczęgę naszą kończyliśmy w Polsce, znowu w górach. Jakże były inne, niż Tatry! Mieliśmy świeżo jeszcze w pamięci cudowny widok, czarnych, poszarpanych szczytów, które ukazały się nam nagle nad Zielenem Plesem (Zielonym Stawem keżmarskim) na tle oślepiająco białych mgieł, rozdartych powiewem wiatru, błyszczące w słońcu śniegiem — leżącym w żłobach.

Tu, w Pieninach, mieliśmy przed sobą białe, malownicze skałki wapienne, pokryte niezwykle bujną roślinnością, przeglądające się w tyśiącznych zakrętach Dunajca, który wiję się u ich podnóża. Pod błękitnym niebem, skąpane w słońcu po-

łudnia, niespodziewanie, kapryśnie strzelające ku górze cienkimi iglicami.

A gdy po dwu dniach znaleźliśmy się w Górcach, inny jeszcze widok rozciągał się przed nami. Rozłożyste, zielone, o płaskich, kopulastych szczytach, porośnięte gestwą jagód czarnych, o zboczach pokrytych najpiękniejszym lasem — dziwnie spokojne, rozlewnością swych konturów podobne falom morza. Z Turbacza — schodziliśmy pośród łąk górskich, dzwoniących brzękiem kos, wyłożonych zachodzącym słońcem — na przełęcz Sieniawską — ostatniego dnia naszej wycieczki. Przyspieszaliśmy kroku.

W ciemniącym coraz zmierzchu oczy nasze szukały czarnej, wąskiej linii toru kolei Kraków — Zakopane. Tuż pod nami zobaczyliśmy nagle toczący się w dół po stromej pochyłości rząd wagonów z długą smugą iskier. Za chwilę usłyszeliśmy zgrzyt hamulców na stacji w Sieniawie.

Byliśmy u celu.

Halina Jankowska.

w dalszem niebezpieczeństwie jak długo Gdańsk nie zrozumie, że jego przyszłość leży w lojalnej współpracy z zapleczem polskiem.

Frank francuski ma obecnie pokrycie w złocie w przeszło 60%, a chwieje się mimo, że pozatem rząd francuski Laval'a ma w swojej rządowej kasie ulokowane depozyty wartości 93 miliardów franków.

Równocześnie marka niemiecka niema prawie żadnego pokrycia i jest teoretycznie walutą utrzymywaną na poziomie ustabilizowanym.

Szwajcaria ma dla swego pieniądza obiegowego pokrycie przeszło 100% w złocie, a frank szwajcarski jest wyraźnie zagrożony. (Eksport szwajcarski stał się za drogi, a turystyka w najpiękniejszym kraju świata, wskutek ogólnej pauperyzacji, coraz bardziej zamiera i Szwajcaria przestaje zarabiać).

Mówi się o możliwości załamania lira włoskiego i guldena holenderskiego.

Polska posiada tylko 50%, ściśle 49,8% pokrycia w złocie, to jest o 19,08% wyższe ponad normę statutową, (która po zmianie statutu w r. 1933 wymaga 30% pokrycia), a złoty nasz stoi niezachwianie.

Dlaczego tak się dzieje?

Złoto jest konieczne, jako pokrycie pieniędzy papierowych, puszczonej w obieg w danym kraju. Moment ten jednak niezawsze jest rozstrzygającym o wartości danej waluty. O tem decydują przede wszystkim trzy inne czynniki: zaufanie ludności w kraju i zagranicą do danej waluty, czynny budżet i czynny bilans płatniczy. Przeważna część państw na świecie przeżyła lub przeżywa jeszcze przewroty walutowe. Czemu zaistniał taki stan rzeczy, tak fatalny w swych skutkach? Zrobił to współczesny kryzys, jakiego nie zna historia świata.

Obecny kryzys gospodarczy spowodowany został przez następujące czynniki:

1) Zniszczenia kolosalnych kapitałów przez zużycie ich dla celów wojennych.

2) Nastawienie całej prawie produkcji świata — podczas czteroletniej, finansowo niezwykle kosztownej i wyczerpującej wojny — dla celów wojennych.

3) Wielkie, ogólneubożenie spowodowane wojną.

4) Ogólny brak całej masy produktów po wojnie.

5) Daleko posunięte usamodzielnienie się — przez rozwój własnej produkcji spowodu odcięcia się od starych rynków zakupu przez wojnę — państw młodych, w Ameryce Południowej, Kanadzie, Australji i południowej Afryce i połączona z tem strata przez Europę dawnych, dogodnych i wielkich rynków zbytu.

6) Wylimitowanie przez szereg lat — wskutek rewolucji bolszewickiej — wielkiego konsumenta — Rosji.

7) Gwałtowna, nadmierna, nie licząca się z siłą zubożałych konsumentów wewnętrznych i zewnętrznych produkcja rolnicza i przemysłowa po wojnie.

8) Nadprodukcja i rozbieżność cen za towary różnych gałęzi i produkcji spowodu nieliczenia się z podstawowym prawem ekonomji, prawem popytu i podaży.

Te wszystkie zjawiska wywołały kryzys ogólny, ciężki, długotrwały w niespotykanych dotychczas rozmiarach, co utrudnia i opóźnia światu powrót do równowagi. Bo życie gospodarcze, które musi się dostosować do pewnych norm, jest bardzo skomplikowane i czułe. Jego bieg i rozwój jest naturalny, nie sztuczny. Wszelkie nakręcanie konjunktury zwykle się nie udaje. W każdym razie takie eksperymenty mogą zrobić tylko kraje wielkie i bardzo bogate zarówno w dobra naturalne, jak i kapitały. Robią to jednak kosztem przyszłych pokoleń. Aby stworzyć taki „boom” (może to zrobić tylko rząd), trzeba zdobyć wielkie kapitały in-

westycyjne przez zaciąganie pożyczek (jak np. w U. S. A.), które potem przyszłe pokolenia, przeklinając, może same znowu w kryzysie żyjące, będą musiały spłacać za swoich antenatów do trzeciej generacji.

Kryzys tak poważny, jak obecnie przeżywany, wywołuje mniejsze lub większe zaburzenia walutowe. Choć niezawsze i nie wszędzie. Im szybciej dane państwo dostosowuje swoje wydatki oraz całokształt życia gospodarczego, państwowego i prywatnego do warunków nowowytworzonych — kryzysowych, tem mniej cierpi i słabnie jego waluta.

Ale mówić o walutach bez uwzględnienia całego spłotu i zespołu spraw gospodarczych jest nonsensem. Wartość danego pieniądza obniża się, gdy czynniki, lub jeden z nich, od których waluta zależy, nie są w porządku.

Gdy wartość pieniądza obniża się, podnoszą się ceny towarów, a cel upragniony, zmierzający do obniżenia cen towarów i zdobycia dla nich tańszych, nowych rynków zbytu zagranicą, nie zostaje osiągnięty (np. Czechosłowacja, Szwecja).

Tylko bardzo rzadko udaje się i to tylko bardzo potężnym państwu o bardzo zdyscyplinowanej, karnej i rozumnej ludności, że obniżenie stopy walutowej nie pociąga za sobą podwyższania się proporcjonalnego cen towarów, co stwierdzamy i obserwujemy z wielkim podziwem w Wielkiej Brytanji.

Naogół jednak wszelka inflacja się mści, jest ona bolesną przedewszystkiem dla ludzi biedniejszych, bo powoduje straty uciulanych oszczędności i obniżenie się wynagrodzenia za pracę (np. w Gdańsku).

A Polska?

Przeżyliśmy straszną, wielką wojnę i w roku 1920-tym dalszą wojnę z nawałą bolszewizmu, gospodarczo mniej niszczycielską, choć politycznie bardzo groźną.

Wszystkie wyżej wymienione czynniki, wywołujące kryzys, miały u nas miejsce. Nadto okupacja niemiecka wymiotła z b. Królestwa Kongresowego dosłownie wszystko, co było wartościowe. Kraj nasz był strasznie zbiedniały i ograbiony.

Rok 1921-szy zastał w Polsce, w b. zaborze rosyjskim i pruskim — markę niemiecką, w b. zaborze austriackim — koronę. Wprowadzono markę polską, słabą, która traciła coraz więcej na wartości. Nastąpiły lata dewaluacji i wielkiej inflacji w Polsce, nie tak straszne jednak, jak to miało miejsce w Niemczech.

Stosunkowo szybko wyzwoliła się Polska, gospodarczo bardzo osłabiona i mało rozwinięta (bo to było celem polityki zaborców, dla których ziemie polskie miały być konsumentem ich własnej produkcji), z tej nędzy walutowej, wprowadzając w r. 1924-tym swego własnego złotego, swą własną walutę i swój własny Polski Bank emisyjny.

Niestety, za wysoko ustanowiono na początek wartość złotego. Miernikiem stopy walutowej jest zawsze bogactwo produkowane i poziom wytwórczości danego kraju. Pierwszy nasz złoty padł. Nastąpiła druga bolesna inflacja. Złoty, ustalony pierwotnie na 5 zł w stosunku do dolara, ustabilizował się w ciągu mniej więcej jednego roku na poziomie około 8,90 zł za jeden dolar amerykański.

Czynniki rządowe w Polsce (pierwsze rządy pomajowe) uznali słusznie, że potrzebna jest pomoc doradczą i finansową zagranicą, aby naszej walucie zabezpieczyć należyte i trwałe podstawy. W związku z tem w lipcu r. 1926-go powołana została misja amerykańskiego (Dokończenie na str. 343).

O ZAPALENIACH GARDZIELI

Jesień i zima — to okresy, w których zarówno dorośli, jak i dzieci, często zapadają na choroby gardzieli. Konieczne więc jest, aby, zwłaszcza matki, zdawały sobie jasno sprawę, czym są zapalenia gardzieli, jakimi grożą następstwami, co wobec nich czynić należy, i jak im zapobiegać. Zapalenia gardzieli, jak wszystkie ostre choroby, przebiegające z gorączką, spowodowane są przez jakieś zarazki. Ogólnie znany jest fakt, że na powierzchni naszego ciała znajdują się wszędzie bakterje, które dla organizmu ludzkiego nie są szkodliwe, o ile człowiek nie jest zraniony i jest cieleśnie silny. Tak samo w jamie ustnej, w gardzieli, w przewodzie pokarmowym i wogóle we wszystkich jamach ciała, komunikujących się ze światem zewnętrznym, znajdują się zarazki różnego rodzaju. Świat bakteryj jest ogromny, w kształtach swych mało się różniący, gdyż przejawia się w trzech zasadniczych postaciach, które tworzą nieliczne odmiany. Według działania rozróżniamy bakterje gnilne, czyli pasorzytnicze, i zarazki chorobotwórcze. Granica pomiędzy nimi nie jest ścisła, gdyż zwykle bakterje gnilne, jeżeli przedostaną się przez ranę do krwiobiegu, mogą spowodować zakażenie krwi. Z drugiej strony zarazki chorobotwórcze są dla ustroju ludzkiego nieszkodliwe, o ile on posiada przeciw nim ciała odpornościowe. Człowieka takiego, który ma w sobie zarazki chorobotwórcze, a sam nie choruje, nazywamy roznosicielem bakteryj. Zapalenia gardzieli należą do tych chorób, które mogą być spowodowane przez bakterje zarówno pasorzytnicze, jak i chorobotwórcze. Dlatego postaci tych zachorzeń mogą być tak różnorakie, jak wieloraki jest świat bakteryj. Decydującym momentem w powstaniu tego różnorodnego cierpienia nie jest więc ta stale w gardzieli znajdująca się taka lub inna bakterja, lecz odporność ustroju ludzkiego, a zarazek stanowi czynnik nieodzowny, lecz drugorzędny, który przejawia się w swojej dla siebie postaci chorobowej.

Trudno wyliczać tutaj ten niezliczony szereg najróżnorodniejszych postaci zapaleń gardzieli, gdyż jest on tak liczny, jak obfitość różnych postaci bakteryjnych, mogących się mieścić w gardzieli. Poza zwykłymi zapaleniami gardzieli, które według ich zewnętrznego wyglądu nazywamy: zatokowem, mieszkowem, owrzodzeniowem, pryszczykowem, ropiejącem i t. d., — rozróżniamy te liczne postaci, któremi zaczynają się zwykle tak zwane choroby zakaźne dziecięce, jak: odra, płonica (szkarlatyna), błonica (dyfterja), influenza (grypa) itd.

W licznych postaciach tych orjentować się może tylko lekarz, a dobrze rozróżnić je może tylko lekarz-pedjatra, który ma duże doświadczenie. Dlatego w każdym przypadku, w którym dziecko narzeka na ból gardzieli i ma choćby trochę gorączki, należy niezwłocznie zawiadomić lekarza, który przepisze właściwe leczenie i zapobiegnie tak liczny zły następstwom.

Wszystkie zapalenia gardzieli dotyczą tej lub owej tkanki chłonnej, która, w postaci migdałków u wejścia do gardzieli, tak zwanych wyrosła na sklepieniu jamy nosowogardzielowej, gruczołów chłonnych w tylnej części języka i w tylnej ścianie samej gardzieli — tworzy zamknięty krąg, broniący wstępu do właściwego organizmu ludzkiego. Im mniejsza jest odporność danego ustroju, a wiemy dziś dobrze, że najmniejsza jest ona u dzieci między 2-gim a 6-tym rokiem życia, tem obfitsza jest tkanka chłonna w gardzieli. Dlatego w tym wieku najczęściej zapadają dzieci na różnorodne zapalenia gardzieli.

Jeżeli, mimo tak celowo przez Stwórcę obmyślonego urządzenia ochronnego w gardzieli dziecka, dzięki

naszemu niedopatrzaniu i nieumiejętnej pielęgnacji, zarazki dostaną się do krwiobiegu, wówczas mogą wystąpić u dziecka, jako powikłania zapalenia gardzieli, najróżniejsze choroby, między którymi najczęstsze są: zapalenie i ropienie gruczołów szyjnych, tak poważne w następstwach zapalenie nerek lub zapalenie stawów, czyli reumatyzm i zapalenie wsierdzia, które zawsze kończy się wadą serca, czyli kalectwem nie do naprawienia. Jako bezpośrednie powikłania zapalenia gardzieli, wymienić należy jeszcze zapalenie ucha środkowego, względnie śluzówki nosa i łączących się z nosem zatok w kościach twarzowych.

Wyżej wymieniony szereg najróżniejszych zapaleń gardzieli oraz tak ciężkich w następstwie powikłań, dostatecznie przemawia za tem, aby pilnie obserwować dzieci, bacznie uważać na wszelkie dolegliwości ze strony gardzieli i, w razie ich zauważenia, natychmiast przeprowadzić właściwe i skuteczne leczenie. Przedewszystkiem nie wolno pozwalać dziecku wstawać za wcześnie z łóżka po przejściu choroby. Jako zasadę, można przyjąć wstanie dziecka najwcześniej trzeciego dnia po spadku gorączki, a w cięższych wypadkach należy stosować się ściśle do wskazań lekarza, leczącego dziecko.

Nowoczesna nauka lekarska jednak nie tylko doskonali wszystkie sposoby leczenia, lecz pracuje coraz więcej nad tem, aby chorobom coraz lepiej zapobiegać. I tutaj leży przed rodzicami olbrzymie pole działania, żeby współpracować ściśle z lekarzami w zwalczaniu chorób zakaźnych i zapobieganiu wszelkim chorobom wogóle. Zapalenia gardzieli należą do rzędu tych chorób, które już zwalczać umiemy. Zapobieganie im wymaga jednak wielu zabiegów i wcielenia w życie wielu zasad, które przeciwstawiają się oddawna przyjętym obyczajom i wymagają pewnego wysiłku woli.

Najskuteczniej zapobiegać możemy zapaleniom gardzieli, przebiegającym podczas chorób zakaźnych dziecięcych, jak: odra, płonica i błonica. Przeciw tym chorobom posiadamy bowiem surowice i szczepionki, które w odpowiednim czasie zastrzyknięte dzieciom, mogą prawie z całą pewnością zapobiec wystąpieniu tych chorób przez wytworzenie tak zwanej odporności. Zabiegi są, co prawda, nieco bolesne, lecz nie tak mocno, aby ból ten niewielki miał być przeszkodą w ich stosowaniu.

Drugim sposobem zapobiegania tym chorobom zakaźnym, jak i również zwykłym zapaleniom gardzieli, jest bezwzględne stosowanie zwyczaju niecałowania dzieci nigdy w usta, jak również niepozwalanie na całowanie się dzieci między sobą. Całowanie dzieci, bowiem, jest jednym z najczęstszych źródeł zarażenia ich, gdyż dorośli mogą być odporni przeciw danym zarazkom, które noszą w jamie nosowogardzielowej, a jednak dzieciom mogą je udzielić, wywołując chorobę.

Poza odpornością przeciw danym chorobom, która jest owocem działania t. zw. przeciwciał przeciw poszczególnym zarazkom, wywołującym te choroby, rozróżniamy ostatnio t. zw. oporność, która jest owocem sił żywotnych ustroju ludzkiego, jego tężyzny fizycznej i moralnej, powstającej tylko w ciągłym hartowaniu się, w ciągłym ruchu i w ciągłej pracy. Aby więc odjąć podłoże zapalenia gardzieli, należy dziecko stale rano i wieczorem wycierać chłodną wodą, codziennie wywozić, wzgl. wyprowadzać na świeże powietrze, przyczem dziecko powinno być tak ubrane, aby przy bieganiu, zabawie, czy pracy nigdy się nie pocilo.

Dr. Franciszek Ksawery Cieszyński.



Dworek, gdzie się urodził Kościuszko

Coraz to „modniejszym” staje się Polesie w rozmowach, prasie, beletrystyce i wydawnictwach naukowych. Lecz istotnie, zasługuje na to, by je nie tylko jako bodajże jedyny w Europie rezerwat egzotyczności pokazywać obcym, ale także i przedewszystkiem nato, by je swoi dobrze poznali i ocenili należycie.

Szmat to ogromny ziemi, nieobeszły, nieogarnięty okiem. Nie należy nigdy — mówiąc „Polesie” — równocześnie wyobrażać sobie jedynie krainę niską, płaską, senną i podmokłą, łąki bagniste z rzadkimi kępami olch i brzoźek, coś, jakby „tundrę” rosyjską w miniaturze. O nie, bywa i tak, bywa nader często, ale nie jedynie. Owszem, krajobraz Polesia, wbrew utartemu mniemaniu, niezawsze jednostajny, przedstawia wielką rozmaitość form, a temsamem interesuje bardzo.

Patrząc z okien przejeżdżającego wagonu linii kolejowej Brześć n/Bugiem — Baranowicze — widzimy bezkresne równie szmaragdowych, podmokłych łąk, groble wąskie na zdradliwych bagniskach, mnóstwo stogów i kopek siana, na suchszych miejscach czekających zwózki zimowej, bo zimą tylko, po lodzie, możliwa jest zwózka, a obecnie jesteśmy wszak w pełni chłodnego wprawdzie i dżdżystego — ale lata.

Pociąg mija rzadko przy linii kolejowej rozsiane osiedla ludzkie. Nieraz kilkanaście kilometrów jedzie się bez widoku jakiegokolwiek osady. Czasem wrzask przeraźliwy szarpie nerwami. To małe „Poleszuki”, pasące opodal bydło podbiegają do nasypu kolejowego i w ten sposób dają znać o sobie. Są jednak i inni, bardziej kulturalni i życzliwie dla jadących usposobieni. Ci pozdrawiają biegnący pociąg, machając rękami, i cieszą się żywiołowo, gdy ktoś z jadących w podobny sposób pozdrowienie odwzajemni.

Mijamy rozległe moczary, tatarakiem porośnięte, sitowiska i „plesy”, (jeziorka), raj kaczek dzikich, których stada podrywają się ciężko, (widać dobrze im się tu powodzi, wynasione są, jak na wystawę), by po niedługim locie opaść w pobliżu na obfite żerowisko.

Pociąg idzie dość rażno. Nie mogę użyć wyrażenia „pędzi”, bo miałyby się to z prawdą, pociąg ów, bo-



Kossów — ul. Kościuski

wiem, jest to tak zwany przez tutejszą inteligencję „Maks”, które to imię, nie umiano mię objaśnić, dlaczego oznacza pociąg „mieszany”, zatrzymujący się długo po stacjach dla ładowania, lub wyładowania, przetaczania wozów itp.

Czekając już kilka godzin w Brześciu, wsiadłam do tego właśnie „Maksa”, nie poinformowawszy się wcześniej, czy niema innego, lepszego pociągu. Oczywiście, jest, bardzo nawet dobry, ale trzeba czekać nań do rana, a że to było już dobrze popołudniu, nie uśmiechała mi się perspektywa dalszego czekania w Brześciu na ów, „lepszy” pociąg. Już co prawda, to prawda, ale połączenia kolejowe dużo zostawiają do życzenia, lecz nie jest to przecież winą Polesia.

Mój „Maks” prze dzielnie naprzód, naprzód ku północnemu wschodowi. Za Żabinka, gdzie można przejsię się na pociąg, zdążający do Pińska, linja kolejowa odchyła się coraz bardziej na lewo od wielkiej Niziny środkowej z bagnami, kanałem królewskim, Pińną, Pińskiem, Prypecią, z dzielną flotyllą marynarki rzecznej i jej sympatycznymi marynarzami.

„Maks” zdobywa wyższy, suchszy teren. Lokomotywa sapie chwilami ze zmęczenia, pnąc się mozolnie na wzniesienia, to znów pędzi, (słowo daję, nie przesadam teraz), „pędzi” naprawdę wdół, zjeżdżając po nieznacznej pochyłości. Mijamy Orań-

czyce, Błudeń, przejeżdżamy przez most na Jasiółdzie, dopływie Piny, mijamy słynną Berezę Kartuską, Bronną Górę i dojeżdżamy do Kossowa Poleskiego. (Pisownia nie ustalona; na jednych mapach i drukach „Kossów” przez dwa „s” — na innych, po prostu Kossów — przez jedno „s”).

Z Kossowa-stacji do Kossowa miasta, 13 km jedziemy dosyć wygodnym autobusem, zapłaciwszy po 1.50 zł od osoby za kurs. Szosa niezła, miejscami bardzo dobra, nasza to już, polska zaśluga!

Kossów Poleski, obecnie miasto powiatowe,

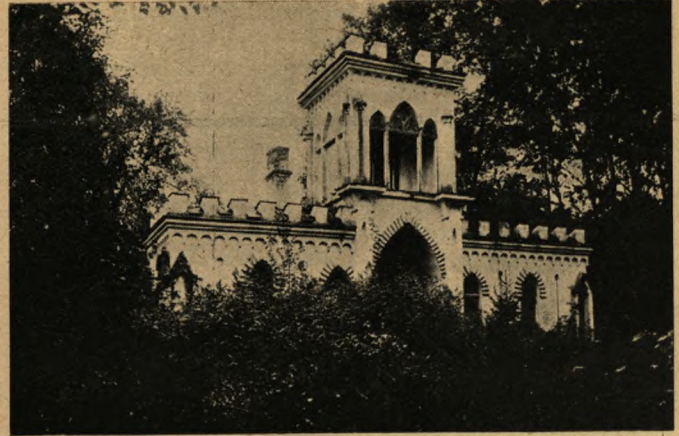


Kossów — wnętrze kościoła

NA POLESIE

nie posiada napozór osobliwości. Ot, zwykle sobie, małe miasteczko spod rosyjskiego doniedawna zaboru. Dźwiga się teraz z marazmu, pcha się do życia, do kultury, rozbudowuje się pod rządami wolnej Polski. Jest tu cerkiew prawosławna, dość duża, jest mniejszy, lecz miły bardzo kościółek katolicki z pięknym obrazem Bogarodzicy w głównym ołtarzu, są 2, czy 3 sklepy chrześcijańskie (!!) i dużo, bardzo dużo żydowskich (!!!!), jest kasa komunalna, są urzędy powiatowe, jest obszerny „Dom ludowy”, jest piękna, znacznym nakładem kosztów zbudowana strzelnica P. W. i W. F., jest Szkoła powszechna i Przedszkole, i Szpital i Basen kąpielowy i t. d. — i t. d.

Rozwijają się na terenie powiatu różne stowarzyszenia: jest „Strzelec”, jest „Kółko Polek”, jest „Stowarzyszenie Katolickiej Młodzieży” i „Straż pożarna” i inne. Ma Kossów pretensje do życia, do życia pełnego, czynnego życia kulturalnego. Ale to widzi się i w innych polskich miasteczkach. Poto tylko nie trzeba jechać aż na Polesie... Tu w Kossowie osobliwości są naprawdę, dla każdego Polaka cenne. Na cmentarzu katolickim pomnik powstańców z 1863 r., poległych w powiecie kossowskim, dowód niezbitości polskości tej ziemi. — I druga — niemniej cenna pamiątka: W opiece czulej księdza proboszcza, z pietyzmem przechowywany dowód urodzenia Naczelnika Tadeusza Kościuszki. Niedaleko, bo zaledwie o 3 km od Kossowa Poleskiego, leży folwark Mereczowszczyzna. Byli przodkowie Naczelnika posiadzielami ródowych Siechnowicz pod Brześciem. Jeszcze za króla Zygmunta I je otrzymali, ale ojciec Naczelnika, pan Ludwik Kościuszko, jako zastaw trzymał Mereczowszczyznę i tu właśnie, w modrzewiowym dworku „z ojca Ludwika i Tekli z Ratomskich, małżonków” urodził się w roku 1746 Tadeusz Kościuszko, przyszedł „Naczelnik powstania i — lep-



Mereczowszczyzna — brama myśliwska w parku.

szej części Narodu Polskiego”. Księgi parafjalne kossowskie stwierdzają ten fakt, ba, do tej pory istnieje ów dworek, pod którego dachem ujrzał światło dzienne Jeden z największych Synów Ojczyzny. Dworek ten, naprawiany, remontowany, przetrwał do dzisiaj w dosyć dobrym stanie i jest celem pielgrzymek Polaków, zawiązujących o te kąty. Na dworku... umieszczono zewnątrz i wewnątrz tablice pamiątkowe z podobizną Naczelnika. Napływ pielgrzymów niewielki, przeważnie młodzież szkolna i jej opiekunowie. W księdze pamiątkowej nie brak żołnierskich i generalskich



Mereczowszczyzna — pałac

podpisów. Zwiedzali dworek wojewodowie polescy i ministrowie rolnictwa i reform rolnych, zwiedzała inteligencja, zwiedzało dość licznie patryjotyczne duchowieństwo. Należałoby jednak odnowić w społeczeństwie kult dla „Naczelnika w krakowskiej sukmanie” i postarać się o trwałe zakonserwowanie tej drogiej pamiątki.

Mereczowszczyzna — niegdyś własność Sapiehów, wchodziła w skład ich ogromnych, wprost fantastycznych włości, wśród których, jako rezydencja dominowała w tej połaci Polski Rożana. O Mereczowszczyznę samą mniej dbano. Droga paru transakcyj przeszła w posiadanie Pusłowskich. Bogaty to był ród, posiadał majątności ziemskie i gdzieindziej, nie troszczył się zbyt o Mereczowszczyznę. Aż w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia — fantazja jednego z Pusłowskich, inspirowana podobno przez jakąś tajemniczą, zagraniczną piękność — stworzyła pałac w Mereczowszczyźnie, pałac zbudowany na wzór dawnych feudalnych zamków. Wieś gminna twierdzi, że nie znalazł nowy pałac uznania w pięknych oczach, dla których uciechy był robiony, bo oczy te ponoć przywykły do oglądania „starych”, autentycznych zamków, nie do naśladownictw... Więc wrychle w niełaskę wpadły nowe mury, baszty i bramy zamkowe, nie dbał o nie właściciel — i w obce — rosyjskie dostały się ręce. Zmieniła Mereczowszczyzna właścicieli, stuknęły po kościuszkowskiemu dworku moskiewskie buciska — aż Polska Wolna i Niepodległa tu przyszła, a Mereczowszczyznę objął w posiadanie Rząd Polski. Pałac, naśladownictwo



Fragment pałacu Pusłowskich

wzorów obcych, otoczony pięknym, 30 ha parkiem jest własnością Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i mieszczą się w nim obecnie biura Starostwa, Urzędu Ziemińskiego itd. — Sam folwark stanowi własność Ministerstwa W. R. i O. P., które zamierza tu założyć szkołę rolniczą, by podnieść rolniczą kulturę tej ziemi. Narazie prowadzi się tu wzorową pasiekę, hoduje się czerwono-polską rasę bydła, która doskonale się tu nadała, porządkuje się i zarybia śliczne stawy, prowadzi się gospodarstwo rolne. Na folwarku króluje uprzejmy i zawsze czynny p. Łabędzki, który upatrzony na dyrektora przyszłej szkoły, wkłada całą duszę w sprawę podniesienia majątku i troskliwie opiekuje się „domkiem Kościuszki”.

Wogóle na Polesiu dużo bardzo robi Polska dla podniesienia rolnictwa i zagospodarowania nieużytków. W samym powiecie kossowskim osuszono około 2.400 ha bagien na Perewołoce (obecna nazwa Staniewicze) i zagospodarowane, obsiane pola oddano po przystępnej cenie osadnikom, utrwalającym polskość tej ziemi ślicznej. — Bo śliczne, bez przesady jest naprawdę Polesie i urok ma dziwny dla każdego, kto je poznał, czy turysta, czy myśliwy, (nie brak i w kossowskim powiecie „grubej” zwierzyny, trafiają się piękne okazy łosia itp.).

Pewno, inaczej może patrzy na te rzeczy człowiek z Polski środkowej, który tu nie przelotnym tylko jest ptakiem, lecz któremu okoliczności kazały tu bytować i trwać. — Wiele nieraz jest do zwalczania. I komunistyczna robota i podżeganie Białorusinów przeciw wszystkiemu, co polskie, to są przeszkody bardzo ważne, lecz byle zdrowy moralnie był polski element — zwyciężymy i to. Przypomina mi się tu trick, jakiego użył jeden z bardzo zasłużonych sprawie zjednoczenia ziem polskich — mieszkaniec b. Litwy Środkowej. Na zebraniu publicznym w małym miasteczku obszernie wyjaśnił korzyści, płynące ze związku z Polską, tak, bez zbytecznego sentymentu, prosto „z olówkiem w rękę”, czysto po kupiecku — a potem zapytał: „a co nam dać może Litwa?” I wezwał jednego z „tutejszych” katolików, starszego gospodarza, ubranego w łykowe łapcie. Gospodarz, żenując się trochę, wszedł na podjum i dosyć czystą, acz śpiewną polszczyzną powiedział: „tak, drodzy braciszku, Polska da nam kulturę — a Litwa co? chyba takie łapcie, jak moje”. Na sali powstał śmiech, ale w rezultacie 95% obecnych na tem zebraniu oświadczyło się za przyłączeniem do Polski.

I ludzie „tutejsi” rozumieją korzyści związku z Pol-

ską i cenią rzetelną pracę ludzi uczciwych, choćby to byli „galicjacy z kongreów” — jak swego czasu, mieszając pojęcia, mówiono o Polakach spod austriackiego, czy rosyjskiego zaboru.

Tak, Polska tu pracuje, placówki zakłada, żyje, trwa i zdobywa. Zdobywa nietylko ziemię, bagnomkomarom i malarji wydartą, ale i dusze ludzkie.

Przykro tylko uderza fakt, że na nabożeństwie w polskim, katolickim kościółku tak mało inteligencji urzędniczej. Nie powinni czekać jedynie uroczystości państwowych, by się pokazać wtedy w kościele.

Na nabożeństwie garść mieszczan, działwa szkolna i z przedszkola z opiekunami, młodzieży gimnazjalnej trochę, osadników paru i bardzo, bardzo małeńka liczba urzędników, tej obecnie „śmietanki” tutejszego towarzystwa. Jednym 2—3 km wyduje się zbyt daleko, innym „brak czasu”, inni „spocząć muszą, choć raz w tygodniu”, a inni obojętni są zupełnie dla spraw wiary, jakby nie wiedząc, że zwłaszcza tu, na kresach — tyle polskości, ile prawdziwego katolicyzmu. Nie mówię naturalnie o pobożności fałszywej, bigoterji, bo to jest coś wstrętnego, co wielce prawdziwej pobożności szkodzi.

Jest jednak w Kossowskiem dzień jeden w roku szczególny, dzień, w którym prawie wszyscy Polacy, i ci, gorętsi i ci napozór oziębli w rzeczach wiary, śpieszą do odległej o kilkanaście km od Kossowa „pustelni św. Antoniego” w Dziadach. Raz w rok — 13 czerwca jest tam odpustowe nabożeństwo. — „Nie obejmie świątynia małeńka wszystkich ludzi” — zwłaszcza, gdy tak się zdarzy, że, jak w tym roku, kazanie ma ksiądz męczennik — ksiądz wyznawca, który niedawno wrócił z piekła bolszewickiego. Księdzem tym, ks. Pawłowski, który na Solówkach był i dużo, dużo wycierpiał, lecz pozwolił Mu wrócić Bóg, więc teraz przestrzega z ambony przed lenistwem ducha, głosi zebrany płomienne Słowo Boże, zachęca do wytrwania w dobrem, do skarbienia sobie dóbr, których woda nie zabiera i ogień nie spali...

Wracają na swoje placówki — nad jezioro Białe czy Wygonowskie, (jezior ślicznych kilka ma powiat kossowski), do Mereczowszczyzny, centrum powiatu, czy w zapadłą, zda się dziką okolicę. Przemierzają stopami szeroką — rozległą krainę, gdzie i dusze prostsze i szersze i serca — może dziksze, lecz szersze — dla do- brych i szczyrych.

Pracują na tej zaniedbywanej długo, dzisiaj poznawanej i umiłowanej ziemi, ziemi przyszłości — na Polesiu.

Jadwiga Szczekotowa.

NOC LISTOPADOWA

*Kiedy patrzę przez okno w ciemną noc listopada,
Łowią uchem jej szmery, przysłuchuję się z drżeniem
Jak ostatni liść z drzewa z szelestem opada,
Napełniając mą duszę tęsknotą, zwątpieniem,
Kiedy cisza w posepnym majestacie kroczy,
Gdy jesienny mrok szary na świecie zapada, —
Jakiś smutek nieznan z tego mroku się tłoczy,
Nieznanemi drogami do serca się wkrada.
Lecz ten gość tajemniczy niema w sobie goryczy,
Dziwnie tęskny i dziwnie uroczy,
Jakieś słowa nieznanne na usta mi wkłada,
Coś do duszy mej gada, myśli mi podpowiada,
Dziwne wizje nasuwa przed oczy.*

*Hej, na bój!
Kto idzie? Stój!
Zdrada!
Jakiś krzyk, zamieszanie,
Ktoś pada.
Tam naprędce zebranie,
Gorączkowa narada,
Słychać szabel trzaskanie,
Zwada!*

*Przez ulice Warszawy pośród zgiełku i wrzawy
Pędzi garść młodocianych szaleńców,
Żądza czynów i sławy, wiara w przyszłość ich sprawy
Na twarz rzuca im tunę rumieńców.
Nic, że tłumy ostrożne, jakieś chmurne i trwożne,
W przyszłość patrzą lekliwie, ospale,
Zapał z oczu im tryska, młode zęby zaciska,
Iść im każe na przebój ku chwale...*

*Dziś ptak narodu, orzeł białołoty
Już „śnieżne skrzydła otrząsnął z posoki,
Od ciał skrwawionych oderwał pazury,
I lot potężny skierował w obłoki”,
Genjusz narodu, wolny i zwycięski,
Już synom swoim myśl przewodnią stworzył,
Bramy przyszłości przed nimi otworzył,
A w serca tchnął im hart i zapał męski,
Już naród polski, pełen wielkiej chwały,
Zdumiał narody siłą twórczej woli,
Bo nadszedł wreszcie kres jego niedoli,
I Bóg wysłuchał odwieczne wołanie:
„Ojczyznę, wolność, racz nam wrócić, Panie!”*

Zofja Gawlikowska.

W Y Ś C I G I

W opinii babek, ciotek i stryjków byłam zawsze najgorszym dzieckiem ze wszystkich.

Stryj Anastazy, wybitny psycholog, zaliczał mnie do grupy osobników o wrodzonych złych instynktach, z którymi walka jest bezskuteczna i prawie nigdy nie doprowadza do zwycięstwa.

Ha, cóż było robić? Dostojna familja traktowała mnie jako zakatę rodziny — a ja — w izolacji moralnej od całego otoczenia rozwijałam swoje potworne, złe instynkty.

Zamiłowanie do wyścigów, tego zgubnego nałogu, obudziło się we mnie bardzo wcześniej, bo już w trzy-nastej wiosnie życia.

Chociaż byliśmy już w IV-tej klasie, jednak do rzeczy dla nas zakazanych należały filmy o fascynujących tytułach, „Morskie Oko” i wyścigi. Usprawiedliwione w naszym pojęciu były filmy i „Morskie Oko”, ale dla czego zabraniano wyścigów, kiedy mówili o nich wszyscy naokoło?

Pewnego razu, przypadkiem, usłyszałam jak ciotka oburzona mówiła do mojej matki:

— Wyobraź sobie moja droga, że ten stary niepoń (t. j. wuj Anastazy) znów przeziukał na konikach kilkadziesiąt złotych!...

Innym razem, ucząc się łacińskiej deklinacji: Jupiter, Jovis, Jovi... przez otwarte okno, usłyszałam fragment z repertuaru Walentowej:

— Pedam ci, pilnuj się stary gracie, bo jak jeszcze raz, to ci drongiem wytłukie z zakutego łba tego trelizatora!

Wreszcie, pewnego upalnego dnia czerwcowego, a było to już na ostatniej lekcji matematyki i nastrój panował prawdziwie przedwakacyjny. Zaledwie kilka uczennic trzymało fason, t. zn. udawały, że uważają, reszta zaś prowadziła rozmowy na wszystkie aktualne tematy, poza matematyką. Często słychać było, że X, lub Y na derbach... dalej szept stawał się ledwie dosłyszalny... auto, żona, willa, ruina, majątek...

Wtem, nagle, drzwi otworzyły się z trzaskiem i do klasy wpadł profesor Gramaciński, krzycząc:

— Panie kapitanie! — ja już pędzę na tor, a pan przyjeżdżaj jaknajprędzej, bo będą fuksy!

Zanim nasz matematyk zdążył odpowiedzieć, Gramaciński wybiegł na schody, powtarzając „fuksy, fuksy, fuksy!”

Trudno więc było w naszym wieku oprzeć się pokusie i nie poznać tego, o czym wszyscy mówili, skosztować zła, które gorliwie potępiał ksiądz prefekt i przełożona.

Zakonspirowana nasza „czwórka” postanowiła nieodwołalnie iść na pole mokotowskie, i... cztery damy, dla dodania powagi, ubrane w staromodne kapelusze matek, znalazły się na galerji.

Tłok był ogromny. Jakieś konie dobiegały mety. Przy kasach powstał ruch: jedni zabierali pieniądze, drudzy wpłacali. Jednym słowem wielki gwałt i rwetes.

Nie pamiętam już jakim sposobem znalazłyśmy się w posiadaniu programu.

Osiem par rozpromienionych i rozgorączkowanych źrenic przebiegało nazwy koni.

Irka chciała koniecznie stawiać na Walentino (miała kilka seryj pocztówek aktora tego imienia).

Janka zaś upierała się przy Nasturcji (bo w żółtym kolorze najbardziej jej do twarzy).

Wreszcie zdecydowałyśmy się wszystkie na Jowisza, (w szkole przechodziłyśmy wówczas historję starożytną), bo ten „omnipotens” napewno zwycięży.

Na niego więc za składkowe 10 złotych nabyłyśmy bilet.

I oto cztery konie ruszają. Wstrzymujemy oddech. Wyteżamy wzrok. Powtarzamy w pamięci imiona pędzących koni.

Pierwsza prowadzi Nasturcja.

—A widzicie — mówi Janka — czy nie mówiłam, żeby na Nasturcję?

Ale, gdy tempo się wzmaga, naprzód wysuwa się Walentino.

— Prawdziwe gęsi — woła Irka — zawsze twierdzą, że Walentino ma talent!

— Cicho bądź, Jowisz idzie na przedzie, Jowisz, Jowisz!

Duma moja wzmaga się. — Jowisz jest moim protegowanym. Jowisz, Jowisz, klasycznie biegnie, a taki piękny jak z obrazu Kossaka.

Jeszcze jedna, dwie sekundy i staje się coś nieoczekiwanego.

Niespodziewanie na kilka metrów wysuwa się Tuberoza. Krótka chwila i już jest u mety, za nią Walentino i Nasturcja, a na końcu dopiero Jowisz.

W tym momencie pojęłyśmy całą grozę. Wszystko stracone — całe 10 złotych, wstyd i hańba, hańba i wstyd. Spojrzałyśmy po sobie i... jakby na komendę serdecznie rozplakałyśmy się...

A Jowisz, jakby na urągawisko, zwrócił w naszą stronę swą kształtną głowę i zarżał. Gromowładny!

* * *

O kilkanaście metrów dalej stali nasi belfrowie. Gramaciński, zacierając radośnie ręce, krzyczał do ucha trochę głuchawego towarzysza:

—A co? nie mówiłem, że będą pierwszorządne fuksy?

* * *

Twierdzą, że nieszczęście chodzi w parze.

W owej tragicznej chwili na wyścigach, mimo kapelusza mamy, a może właśnie dlatego, poznał mnie w tłumie wuj Anastazy.

Przy wyjściu, gdzie go dopiero dostrzegłam, powiedział mi groźnie:

— Pamiętaj, smarkata, że o tem dowie się ojciec!

No, i dowiedział się nietylko ojciec, ale i cała familja. Było dużo tłumionych w głębi obfitych ciał szlochów ciotek, westchnień babek. Po raz setny może usłyszałam wykład o złych instynktach i demoralizacji i wreszcie na zakończenie tej smutnej uroczystości, musiałam złożyć solenną przysięgę, że nikt z rodziny nie usłyszy z moich ust słowa koni i wyścigi.

* * *

Od tego czasu minęło wiele lat. Do dalekiej przeszłości należały już emocje szkoły i... inne... gdy znów pewnego czerwcowego dnia odezwał się zły instynkt — pojechałam na mokotowskie pole.

Tempora mutantur et nos mutamur in illis. Gdy w zamierzchłej młodości wyścigi przeżywałam całą duszą i bezpośrednio, teraz z pewną dozą goryczy dostrzegłam, że wystarcza mi tylko obserwacja innych i pośrednio ich przeżycia zawiedzionej nadziei, entuzjazmu, szalu, zapomnienia.

Wzdłuż ogrodzenia właściwego terenu wyścigów na ul. Polnej, mniejsze lub większe grupy sportmenów „pewnej sfery”, soczystymi i jędrnymi argumentami usiłują się wzajemnie przekonać, że Nerw jest pewniejszy niż Temperament, Demon szybszy niż Bachantka, Granica jest niepewna, a Aramis, wogóle nic nie wart.

Nie mniej ożywiony nastrój panuje na właściwym terenie.

Z każdą chwilą przyływa coraz większa fala ludzi. Prawie każdy na białym lub niebieskim programie „typuje” konie i czeka na rozpoczęcie pierwszej gonitwy.

Na ławce, obok mnie, siedzi jakiś dość leciwy jegomość w wyszarzanym garniturze i apatycznym wzrokiem wodzi dokoła.

Jeszcze chwila i kula zaczyna wznosić się ku górze. Na znak ten tłum, jakby rażony iskrą elektryczną, jeszcze silniej faluje. Ci, którzy dotychczas siedzieli, gwałtownie się podnoszą i zwartą masą oblegają ogrodzenie. — Ławki pustoszeją.

Zostaje tylko ów nieznamy i ja.

Teraz on zaczyna badawczo mi się przyglądać i wreszcie rzuca jakiś enigmatyczne pytanie?

— Czy pani również jest homo-nagus?

— Nie rozumiem, co to znaczy?

— Nie rozumie pani, przecież to takie proste.

Po chwilowej przerwie zaczyna powoli mówić:

— Są chwile w życiu człowieka... poco mówi o chwilach? Są ostatnie dni miesiąca, kiedy człowiek niema już za co grać i jeżeli idzie na tor wyścigowy, czyni to więcej z przyzwyczajenia, niż dla przyjemności. W tym momencie... umiera „homo aequus”, a rodzi się „homo-nagus” o zmienionym światopoglądzie. Bo czyż może przeżywać gonitwy człowiek, który ma w kieszeni trzy złote do końca miesiąca i abonament tramwajowy? Nie. — Teraz właśnie ja przeżywam tę fazę, zbliżoną jakby do letargu, z którego obudzę się dopiero po pierwszym. Widzę, że panią to dziwi? — O, proszę pani, to wszystko jest bardzo skomplikowane.

* * *

Wśród publiczności rozchodzi się szmer: Nadobna, Nadobna.

Staję na ławce i widzę w przebiegu wysuniętą na przód Nadobną, Neptuna i Carmen.

Jeszcze chwila i konie podrywają się do biegu. Tempo się wzmaga, ale nie dostrzegają tego widzowie zgromadzeni przy płocie. Oni mają złudzenie, że konie pędzą zbyt wolno. Chcąc więc zwiększyć szybkość rumaków, popędzają do galopu stojących przed sobą laskami, torebkami, czy nawet programami, byle prędzej, prędzej...

Konie dobiegają mety. Powstaje krzyk, malujący crescendo.

Potem widać tylko twarze wyrażające radość, zawód, oburzenie, kłamaną obojętność, a nierzadko i rozpacz.

Nagle chwyta mnie ktoś za rękę.

G Ó R Y

Murem granitowych zwalów
Błękitów zamknęły drogę!
Poszarpanem ramieniem walczą z chmur nawałą
I chłoną w strzaskane łono
Słońca pożogę!

Wryte niedostępną ścianą
W zielonych dolin łożysko.
Wnoszą skalne czerepy, patrząc jaskiń raną
W głąb żlebu — w wydarte niebu
Czarne otchłisko.

Zd. Broncel.

— Dzieńdobry, Kociu!

— O dio mio, — wuj Anastazy!

Podświadomie odzywa wspomnienie, bolesne wspomnienie wyścigów sprzed lat.

Tym razem jednak wuj nie obiecuje zawiadomić ojca, natychmiast proponuje mi przejście na teren wyścigowy niższej sfery, która w grze i hazardzie posiada więcej temperamentu.

Idziemy.

Galerje lub t. zw. „wydmy” czy „targowisko” oddzielone podwójną siatką od łóż i trybun.

Życie tu wre, pieni się, kipi. W pobliżu kas jakieś indywiduum w sztywniaku i bez krawatu wydziera się na cały głos:

— „Czwórka z góry trzy złote”.

O kilka kroków dalej inny typek na tę samą modłę usiłuje przekrzyknąć pierwszego, wołając:

— Tu wszystkie łapserdaki chodźcie do poźonnego jenteresu, trójka z dołu po złociszu, po złociszu!

Tłum faluje.

Wtem rozlega się przeraźliwy pisk kobiecy:

— Te, panie Cwany, nie szczypać! Jak jeszcze raz, to zamaluje prosto w cyferblat!

— Klawo, klawo, panno Franiu! — dolatuje głos z za parkanu i wzdłuż szpary ukazuje się jednocześnie kilkanaście żreń.

Rozlega się dzwonek. Cała galerja, jakby na komendę, wisi już na siatce ogrodzenia. Kilka minut wzajemnego spychania się i konie są już u mety.

Rozlega się przeraźliwy wrzask i gwizdanie. Tumany kurzą unoszą się w powietrzu.

— Fundango wzięł, dawać go tu zara! Dawać!

Wtem jakiś głos krzyczy:

— Franka, gdzie Franka? Musze dać jej w morde!

— No chodź, daj! — krzyczy głos z za parkanu.

Galerja na chwilę cichnie — do głosu przychodzi ulica.

— No te, odknaj sie szopenfeldziarzu, póki ci siedom w gembie te dwa ubezpieczeniowe zemby.

Potem widać było tylko jakąś zwartą masę, krótkie urywane trzaski, granatowy mundur...

W ogólnem zamieszaniu nagle jakaś niewidzialna siła kapelusz zepchnęła mi na twarz i również niewidzialna pięść, przeznaczona dla kogoś innego, spadła z wielką siłą na mój nos.

Co później się działo — nie pamiętam.

Oprzytomniałam dopiero w lecznicy, gdy nakładano mi opatrunki na poważnie uszkodzony nos, a przedstawiciel władzy bezpieczeństwa skrupulatnie pisał protokół na podstawie zeznań naocznego świadka, kochanego wujcia Anastazego.

Tym razem nie potrzebował on zawiadamiać ojca o wym występkę, uprzedziła go wszechwiedząca prasa.

A ja? Całkowicie zostałam wyleczona ze złego instynktu — na wyścigi już nie pójdę!

Izabella Hentszłówna.

S Ł O Ń C E

Na chmurach — w oddali —
Jak okręt tonący

Na burzliwej fali,
Słońce się pali!

A góry płoną —

Złotą koroną

Wieniec granitów roztruchany
I blask żarliwy.

W otchłań się wali,
Jak strumień krwi żywej
Z piersi rozrąbanej.

Zd. Broncel.

ALEKSANDER JUNOSZA-OLSZAKOWSKI

2)

DWAJ BRACIA

— Panie Walenty! W ten sposób rozumując do niczego nie dojdziemy. Rozumiem, że dziś pracę trudno znaleźć, ale mógłby pan przynajmniej dopomóc żonie w praniu bielizny. Zwiększyłaby się wówczas klientela i obstalunki i pieniądze byłoby więcej.

— Co pan gada?... panie nauczyciel!... A mój honor to gdzie?... ja brudnych łachów prac nie będę!...

To mówiąc, Walenty czknął potężnie i, rozstawiając szeroko nogi, uderzył się pięścią w pierś.

W tej chwili jedno z dzieci, mała ośmioletnia dziewczynka, podbiegła do Antoniego i, schwyciwszy go za rękę, jęła prosić błagalnym głosem:

— Panie kochany! Niech pan nie da tatusiowi bić mamusi! Mnie tak żal jest! Mamusia taka biedna!

Antoni uczuł się wzruszony. Poglądziwszy dziecko po płowej główce, odparł:

— Nie bój się maleńka! Tatusz żartuje sobie!

Walenty pochylał się nagle naprzód i gwałtownym chwytem przyciągnął dziecko ku sobie.

— Ja ci się dam skarżyć!... Ja ci pokażę żarty!... Ty djabelskie nasienie...

To mówiąc, wyrodny ojciec wykręcił dziecku rączki do tyłu i syknął z wzrastającą wściekłością:

— A takie żarty to ci się podobają?!

Antoni, nie mogąc patrzeć na tę scenę, wyrwał szybko dziecko z rąk pijaka i pchnął go silnie w stronę okna.

Walenty, poślizgnąwszy się na mokrej podłodze, padł ciężko na ziemię. Oszołomiony, począł się niezdarnie gramolić, wreszcie stanął na nogach, trzymając się poręczy krzesła.

Nastała chwila wyczekującego milczenia. Wreszcie Walenty posunął się ku drzwiom, patrząc z podelba na Reszkę.

— Panie nauczyciel... ja pana nie zaczepiam... czego pan mnie zaczepia?...

Reszka, wzburzony do głębi, spojrzał nań groźnie.

— Wiedz pan o tem, że w mojej obecności ani dziecka, ani kobiety tknąć nie pozwolę! A jeśli chce pan koniecznie bić się, to proszę! Nie pierwszy to raz zapoznał się pan z moją ręką!

Walenty zmełł w ustach przekleństwo. W jego zamroczonej alkoholem mózgu tliła się iskierka nadziei, że kiedyś może ubogi nauczyciel wiejski stchórzy przed nim, dając mu niezastąpiony niczem triumf niewolnika nad człowiekiem umysłowej wyższości. Zdawało mu się też często, że moment taki nadchodzi, ale zawsze przekonywał się, że popełniał błąd zasadniczy. Chwiejne nogi nie mogły ustać twardo na ziemi, ręce zaś były dziwnie omdlałe i słabe. Kiedy był trzeźwym, złości nie czuł żadnej, prócz wstydu.

Pomilczawszy tedy jeszcze chwilę, ruszył niezdarnie ku drzwiom i wyszedł na ulicę.

Antoni popatrzał ze smutkiem na praczkę i zagadnął:

— Będzie wam z pewnością brakowało pieniędzy na strawę dla dzieci?

Kobieta kiwnęła głową i zaniosła się płaczem.

— Mój Boże! Siedem lat męczę się z tym człowiekiem! Wszystko co zarabiam, wydziera mi z ręki, a dzieciaki chodzą głodne i obdarte, komornego niema czem zapłacić, gospodarz grozi eksmisją i końca lepszego nie widać!

— Niestety, nie mogę wam w tym miesiącu dopomóc, bo dużo pieniędzy wysłałem do Warszawy! Mam ostatnie dwa złote, które mogę wam dać!

— Bóg zapłać, ale z czego pan będzie żył? Nijako przecie człowiekowi brać od pana pieniądze tak za nic. Tyli czasu pan nam pomaga, a przeciek nie będzie z czego oddać!

— Moi drodzy! Przecież pierzecie mi bieliznę...

— Iii! Dużo tam jest tej bielizny! Dwie koszule, dwie pary dolnej garderoby i parę skarpetek!

— Wszystko to głupstwo! Niema o czem mówić! Macie tu dwa złote i zostańcie z Bogiem! A jak wasz mąż przyjdzie i będzie się awanturował, to zapukajcie do mego mieszkania.

To mówiąc, Antoni Reszka opuścił ubogie mieszkanko praczki i wrócił do siebie. Na przygotowanie obiadu było już zbyt późno, a zresztą nie czuł głodu. Bezwiednie stanął przy oknie i, patrząc na zamierające światło dnia, zamyślił się.

Dziesięć lat minęło odkąd zamieszkał w Hejnałowie po burzliwych przejściach w czasie wojny, dosłużywszy się rangi porucznika. Bez żalu żegnał swych kolegów pułkowych, przeżycia bowiem wojenne nie odpowiadały jego łagodnemu charakterowi. Z usposobienia był marzycielem, zachwycającym się ukrytem pięknem żdźbła trawy, niepokalaną czystością promieni słonecznych w mroźny poranek, tęsknym poszumem wichru lub monotonnym ćwierkaniem koników polnych w czasie gorącego lata.

Od życia niewiele wymagał, koszmarnie bowiem wizje wojny tak mocno wstrząsnęły jego duszą i umysłem, że chwilami nieomal odczuwał chorobliwą nienawiść do ludzi zato, że się ongi z taką zaciekłością wzajemnie mordowali. Życie jednak, posiadające nieprzebrane skarby piękności, ujawniło mu inne cele, dla których warto było cierpieć i umierać. Zrozumiał, że miłość bliźniego, czynienie ludziom dobra, jest wyszukiwaniem ścieżki wiodącej ku Bogu. Pracował tedy z zapalem nad rozwojem umysłów dziecięcych, aby wpoić w nie wiarę w piękno życia i cel śmierci. Było mu nieraz niezmiernie ciężko i, jak każdy człowiek poświęcający się dla innych, przeżywał chwile radości i zwątpienia. Wszystkie swoje uczucia rodzinne zogniskował w bracie Lucjanie, starając się tak ukształtować duszę wrażliwego chłopca, aby mógł przejść przez życie w pełni zupełnego szczęścia.

Lekkie pukanie do drzwi przerwało jego rozmyślenia. Nie odwracając głowy, rzucił krótkie słowo:

— Proszę!

Drzwi lekko skrzypnęły, wpuszczając przybyłego do środka.

— Dobry wieczór panu! Ksiądz proboszcz przysyła mnie i prosi, aby pan zechciał być na kolacji!

Reszka odwrócił się od okna i spojrzał. Przed nim stał kilkunastoletni syn organisty, Wacek.

— Dobrze, mój chłopcze! A ty pewnie będziesz chciał grać na moich skrzypcach, co?

Twarz chłopaka rozpromieniła się radością, a oczy spojrzwały z ukrytą nadzieją na Reszkę.

— O tak, proszę pana! Chciałem właśnie prosić i gdyby pan...

— Dobrze, dobrze! Pokaż tylko ręce! Masz obcięte paznogie?

— Mam, proszę pana!

— No to graj! A kiedy się zmęczysz i będziesz wychodził z mieszkania, nie zapomnij odnieść mi klucze na plebanję.

— Nie, nie zapomnę!

Reszka narzucił na siebie skromne, wytarte paletko, nasunął na czoło kapelusz i wyszedł. Na pogodnym niebie migotały pierwsze gwiazdy. W miasteczku umilkł wszelki gwar i hałas. W małych uliczkach panowała cisza, przerywana od czasu do czasu turkotem przejeżdżającego wozu lub naszczekiwaniami podwórzowych psów. Mroki nocne rozpraszały światła z okien małych parterowych domków.

Rynek był trochę więcej ożywiony. Z poza oszkłonych drzwi skromnej restauracyjki rozbrzmiewały dźwięki jakiejś skocznej kapeli. Przed domem parskały konie zaprzężone do folwarcznych bryczek i, zbici w gromadkę, rozprawiali furmani, śmiejąc się głośno i wesoło. Obok w małym sklepiku spożywczym zdemowano z wystawy nabiał i zamykano okiennice przed pójściem na spoczynek. Na samym środku rynku przy zardzewiałej ze starości studni, stało kilku brodatych obywateli Hejnałowa, prowadząc z niezwykłym ożywieniem rozmowę.

W końcu rynku stał kościół, a tuż za nim przytulona do muru kościelnego plebanja. Ksiądz proboszcz zajmował trzy pokoje, mieszkając razem z matką staruszką. Często podejmował obywateli z okolicznych folwarków, będąc usposobienia raczej towarzyskiego, lubiąc czasem pośmiać się i pożartować.

Rozdział II.

W gabinecie księdza zgromadzonych było kilka osób. Był pan Czarnolaski z córką, właściciel Czarnolesia, majątku stuwłókowego, pani Odrowążyna, właścicielka ogromnej cegielni, pan Letuski, właściciel majątku i cukrowni Tusin oraz pan Sitko, dyrektor tejeż cukrowni.

Wejście Reszki powitane było z niezwykłą sympatją i uznaniem, znali bowiem wszyscy jego zacny charakter i głębokie wykształcenie. Reszka witał się ze wszystkimi radośnie, a kiedy stanął przed panną Czarnolaską, ręka drgnęła mu nieznacznie, a na twarz wystąpił lekki rumieniec.

Od półtora roku, znając przystojną dziewczynę, kochał się w niej skrycie, nie śmiejąc jednak miłości swojej ująć w bardziej realne formy, oświadczając się rodzicom o rękę panny Zofji. Zdawał sobie z tego sprawę, że zbyt wielka różnica istniała między nim a posażną jedynaczką obywatela ziemskiego. Zbyt był dumny, aby prosić o rękę i narazić się na odmowę, zbyt zaś delikatny, aby dać odczuć pięknej pannie, że ją kocha nad życie. Wolał w milczeniu podziwiać ją wzrokiem, głodnemi oczyma wchłaniając cudny obraz ukochanej, skazując z góry na zagładę głos swego serca. Zresztą tyłu się kręciło bogatych paniczów koło panny Zofji, tyłu młodych ludzi o świetnych nazwiskach, że czuł się nie raz jakby ogłuszony olśniewającą wspaniałością jej otoczenia. Za każdym jednak razem, kiedy dotykał ręki panny Zofji, miłość wybuchała w nim z nową siłą.

— Mówiliśmy przed chwilą o nowym cudzie w Lourd — rzekł pan Czarnolaski, ściskając kordjalnie dłoń Reszki — który miał miejsce niedawno. Czy zna pan szczegóły tego wypadku?

Reszka potrząsnął przecząco głową i odparł:

— Niestety, pisma jeszcze nie podały bardziej dokładnych danych. Wiadomo jest tylko, że jakiejś wieśniaczce belgijskiej, chorej na raka, który zniszczył jej część języka i groził uduszeniem, usadowił się bowiem

w gardle, język momentalnie odrósł i choroba znikła bez śladu przy zanurzeniu kobiety w świętej wodzie w Lourd.

— Wielkie to zdarzenie, świadczące o potędze Boga! — odezwa się ksiądz proboszcz. — I pomyśleć, że są jeszcze głupcy, którzy zaprzeczają temu, pomimo fotografii i protokołów kilkudziesięciu lekarzy różnych narodowości, obecnych przy uzdrowieniu.

— Dałby Bóg, aby ci głupcy się tam znaleźli — wtrącił się do rozmowy pan Sitko — a wówczas przestałoby zarzucać innym złą wolę i oszustwo.

Pan Czarnolaski machnął ręką i rzekł:

— Myśli pan, że toby wyczerpało kwestję niewiary? Znaleźliby się inni, którzyby dalej szerzyli nieufność i podważali autorytet Kościoła. A przecież niemożliwą jest rzeczą przewieźć całą ludzkość do Lourd i pokazać jej naocznie dowody potęgi Boskiej. Niewiernych Tomaszów znajdzie pan legjony, wierzących znikomą ilość!

— Wśród naszej obecnej inteligencji mamy wielu takich, którzy stanowią tak zwanych paszportowych katolików — uśmiechnął się ksiądz — nie chodzą oni do kościoła, nie modlą się codziennie, a co zatem idzie, nie wierzą w dogmaty naszej wiary. Takich nigdy żaden cud nie wzruszy. Kiedy jednak nadejdzie czas rozstania się z tym światem, wzywają mnie jako sługę Bożego, ażebym pojednał ich z Bogiem. Na wszelki wypadek. Są zbyt przeczorni, ażeby pominąć ten akt wiary i zbyt mali, aby uwierzyć weń z całej duszy. Tych olśni zapewne cud zmartwychwstania, cud naszej nieśmiertelności osobistej.

— Mądrze ksiądz dobrodziej powiedział — przyznał pan Sitko — nie dziwota, że tacy ludzie przechodzą obojętnie obok cudów, mających miejsce w Lourd, cudów, w obliczu których inni są pełni zachwyty i uwielbienia!

Nagle otworzyły się drzwi prowadzące do jadalni i na progu stanęła siwuteńka jak gołąb staruszka. Była to matka gospodarza domu.

— Proszę na kolację — ozwała się nikłym, słabym głosem, patrząc na obecnych, lekko przymrużonemi oczyma.

Wszyscy poruszyli się żywo i po chwili zasiedli przy stole. Obok miejsca Reszki znalazła się panna Zofja, co napełniło biednego nauczyciela błogą radością. Patrząc ukradkiem na szlachetny profil dziewczyny i przedziwnie długie rzęsy, które ocieniały dwoje błękitnych oczu, nadając im wyraz tajemniczego uroku, Reszka czuł, że byłby najszcześliwszym człowiekiem na kuli ziemskiej, gdyby mógł nazwać pannę Zofję swoją żoną.

Z zamyślenia wyrwały go nagle słowa panny Czarnolaskiej, skierowane do niego.

— Ślicznie pan grał zeszłej niedzieli w kościele. Wszyscy byli głęboko wzruszeni. Ja także.

Antoni zaczerwienił się z radości i zakłopotania.

— Przecenia pani moje zdolności. Mam tylko dobry instrument i pozatem w kościele jest wspaniała akustyka. To wszystko!

Panna Czarnolaska poruszyła z powątpiewaniem głową.

— Nie wierzę panu! Wiem, że pan jest skromny aż do przesady i często ludzi wprowadza pan w błąd swojemi wyjaśnieniami. Rozumiem dobrze, że bez zdolności i długoletniej wprawy nigdyby pan nie wywarł takiego wrażenia na słuchaczach. W przyszłym tygodniu we czwartek urządzamy u siebie mały koncert, na którym będą zbierane datki celem niesienia pomocy najbiedniejszym, których opiekunką w powiecie jest moja

matka. Naturalnie liczymy na pana, że pan nie odmówi swego udziału w koncercie! Panna Stefanja Letuska będzie panu akompanjowała.

— Z miłą chęcią, proszę pani!

Pan Sitko, który siedział naprzeciw młodych i nie słyszał początku rozmowy, pochylił się naprzód i zapytał:

— Co z miłą chęcią? Co się stało?

— Pan Antoni przyrzekł nam swą pomoc w urządzaniu koncertu — odparła panna Zofja.

Dyrektor cukrowni spojrzął z uznaniem na Reszkę.

— Ile razy jest mowa o muzyce pana Reszki, stwierdzam zawsze, że padł on ofiarą tragicznego nieporozumienia z życiem. Miejsce jego powinno być na estradach europejskich, gdzie olśniewałby zapewne tłumy swą czarodziejską grą na skrzypcach jako wirtuoz. Hejnalów nie jest terenem odpowiednim dla jego zdolności.

— Ma pan rację — wtrącił się do rozmowy ksiądz proboszcz — widziałem coprawda niejednokrotnie spore gromady ludzi pod oknem mieszkania pana Reszki, kiedy ten grywa wieczorami na skrzypcach. Jak nam wiadomo, ludzie z tych sfer z trudem ulegają czarowi subtelnej muzyki i zazwyczaj bardziej ich pociąga zwykła harmonijka, aniżeli skrzypce. A jednak na wielu twarzach widziałem głębokie przejęcie i wzruszenie. Gdybym widział, że pan Reszka dusi się atmosferą naszego prowincjonalnego miasteczka i marzy o szerokim świecie, zachęciłbym go i w miarę możliwości dopomógł do zrobienia kariery w życiu. Lecz jako kapłan muszę dbać o zachowanie równowagi szczęścia w duszy każdego z moich parafjan. Ponieważ nasz kochany pan Antoni czuje się zupełnie szczęśliwym wśród nas, przeto nierozsądkiem byłoby zachęcać go do pogoni za złudnym mirażem sławy i bogactwa. Czy dobrze powiedziałem, panie Antoni?

— W zupełności się zgadzam z księdzem proboszczem — bąknął zmieszany Reszka, którego zawsze wprowadzała w kłopot rozmowa o jego muzyce.

— Czy brat pański jest również muzykalny? — zapytała panna Zofja.

Oczy Antoniego błysnęły rozradowaniem.

— Bardzo ładnie śpiewa, proszę pani! Nie uczył się nigdzie, co uważam za dużą stratę.

— Kiedyż pan nam pokaże swojego braciszka? — rzucił pytanie pan Czarnolaski, zapalając papierosa — od kilku lat wciąż się o nim mówi, wiemy wszyscy jak pan go kocha i co pan robi dla niego, przeto ciekawość nasza jest niezwykle zaostrzona.

Spodziewam się, że tego lata będę miał możność przedstawić państwu Lucjana — odparł Reszka z uśmiechem — do tej pory warunki życiowe i nauka nie pozwalały nam spotkać się na dłużej. Zwykle lato Lucjan spędzał u swoich przyjaciół uniwersyteckich, których względy pozyskał sobie w czasie studjów.

— Ile lat liczy sobie pański braciszek? — zapytał pan Sitko.

— Obecnie kończy dwadzieścia cztery.

— Wygląda na starszego. Jest wysoki, niezmiernie silny i w gorącej wodzie kąpany. Czasami nabiera to cech zuchwałości i jest przyczyną wielu powikłań życiowych.

— Lubi awanturki? — zainteresował się pan Czarnolaski z żartobliwym uśmiechem na twarzy.

— Specjalnie ich nie szuka, a jednak ma szczęście do niezwykłych sytuacji, w których łatwo sobie guza nabić. W zeszłym roku naprzykład, w czasie pochodu komunistycznego w Warszawie, jechał dorożką przez plac Bankowy. W pewnej chwili na ulicy utworzył się zator i dorożka musiała przystanąć. Szarża policji zmusiła tłum do rozejścia się. Zwolennicy komunizmu, rekrutujący się po większej części z walecznych i pejsatych Machabeuszów, dali rozpęd własnym nogom i w ten sposób olbrzymi plac zapełnił się biegającymi w różne strony ludźmi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Dokończenie art. Złoty polski a przewroty walutowe na świecie.

ekonomisty prof. Kemmerera, która ustaliła warunki gospodarcze w Polsce, wykazała braki i wskazała sposoby naprawy.

Na tej podstawie otrzymała Polska w r. 1927-mym tak zwaną amerykańską „pożyczkę stabilizacyjną” i rzeczywiście ustabilizowała ostatecznie i urzędowo swą nową walutę, swego złotego, na poziomie, który odtąd pozostał niezmienny i nienaruszony, nawet przez wielki, obecnie panujący kryzys światowy.

Czemu przypisać, że nasza waluta, nasz złoty trzyma się tak dzielnie i nie drgnął ani na chwilę, że Polska nie wprowadziła ograniczeń dewizowych i tworzy tym sposobem jeden z nielicznych unikatów walutowych na całym świecie?

Rząd Polski zrozumiał w porę, bo jeszcze w roku 1928-ym, że nadchodzi wielki, ogólny, długotrwały kryzys, i dostosował do niego bezzwłocznie życie gospodarcze państwa, wprowadzając natychmiast umiarkowaną dewaluację, obniżając wydatki i śmiało wydatki państwowe przez zmniejszenie poborów urzędniczych i kompresję innych wydatków publicznych, przez usilne zabiegi celem zrównania jaknajbardziej cen za produkty rolnicze i fabryczne, przez wczas podjęte zabiegi w kierunku zrównoważenia budżetów publicznych, przez nienaruszanie statutu i niewyzyskiwanie nadmierne kredytowo — dla celów państwowych — Banku Polskiego.

Bank Polski zaś wprowadził natychmiast mądrą, choć często bolesną kompresję kredytową bez wprowadzania ograniczeń dewizowych, pozostawiając temsamem absolutnie nienaruszone prawo zakupu i wywożenia obcych pieniędzy i trat (weksli zagranicznych).

Przypomnieć przy tej okazji należy, że Bank Polski powstał już w roku 1828-ym, założony przez księcia Druckiego-Lubeckiego. Dziś Bank Polski jest instytucją prywatną, wyposażoną przez państwo w przywilej emisji banknotów, a wpływ państwa na bank określa statut Banku i dotychczasowa praktyka.

W ten sposób Rząd Polski i Bank Polski osiągnęły równocześnie, że kryzys i jego skutki nie zachwiały zaufania do waluty polskiej, tego najważniejszego czynnika wartości pieniądza.

Nasz złoty jest murowany. Nie przeżyliśmy i nie przeżywamy trzeciej inflacji, mimo zawieruch walutowych wokoło nas i na całym prawie globie.

Obecnie są już oznaki na barometrze gospodarstwa światowego, a także specyficznie polskiego, że kryzys zaczyna mijać; złoty polski go przewyciężył!

Tak, jest nasza chlubna i zwycięstwami okryta Armja Polska, jak najnowocześniejsza, cudem świata zwana Gdynia, tak i złoty polski stanowi naszą dumę przed światem.

Mgr. Marjan Wojdyło.



NA FALACH CZASU

Z POLITYKI

Italia da sobie radę.

Italia farada se. — Ongiś z Piemontu wyszło to hasło, będące odmianą hasła dynastji sabaudzkiej. W jego duchu dokonano się zjednoczenie rozproszonych ziem włoskich, co zatem idzie, postawiony został pierwszy krok do stworzenia nowoczesnej Italji, jednego z pięciu mocarstw świata. Szczęśliwie pomyślana decyzja wzięcia udziału w wojnie po stronie Ententy, posunęła znakomicie dzieło konsolidacji tego kraju, który w ciągu lat pięćdziesięciu dokonał ewolucji od średniowiecza do nowożytności. Dalszą konsekwencją tego rozwoju jest dzisiejsza akcja faszystowska, zmierzająca do zdobycia nowych kolonij. Wogóle dziś już można mówić o epoce faszystowskiej w dziejach Italji. To, co dokonano dla wewnętrznej konsolidacji kraju, dla podniesienia dawnych lazzaroni i makaroni do rangi cives Romanus, jest zjawiskiem wprost nieprawdopodobnym.

Dziś dla dalszego podniesienia temperatury tego ducha obywatelskiego trzeba Włochom terenów do ekspansji. — Przed wielką wojną europejskie państwo włoskie miało 286 tysięcy 800 kilometrów kwadratowych, obecnie posiada ich 312 tys. 510 km. Na tej przestrzeni żyje około 40 milionów ludności. Obszary afrykańskich posiadłości włoskich wraz z europejską Italją dają w sumie 1.912 tysięcy klm. kwadratowych, a wraz z Somali przeszło 2 miliony. Lecz, zdaniem Mussoliniego, jest to mało dla ekspansji 43-miljonowego narodu, dlatego pragnie on jeszcze zagarnąć jakieś 300 tysięcy abisyńskich kilometrów.

Italia sempre avanti — zawsze naprzód.

I jest złudzeniem i dziecinadą przypuszczenie, że Mussolini odstąpi od tego programu. Odstąpi w jednym tylko wypadku, gdyby powtórzyła się klęska pod Aduą. Lecz Mussolini jest pewny zwycięstwa. Wysłał już nawet do Afryki pomnik dla uczczenia poległych i sam go osobiście ma zamiar odstąpić. Jakże wobec tego wyglądają ci, którzy przy pomocy not dyplomatycznych chcą rozbroić Il duce. Jakże zabawnie brzmi dowcipne zresztą i bardzo ładnie brzmiące hasło, że (wobec zdobycia Adui) „po zaspokojeniu prawa dżungli, należy teraz powrócić do prawa pokoju”. Otóż Mussolini nie za każdą cenę powróci do prawa pokoju, gdyż nie każda forma załagodzenia sporu, choćby najbardziej wzniosłem pokryta hasłem, może wodza faszystów zadowolić. A zresztą czyż nie jest właściwie częstą frazeologją stosowanie pojęć europejskich do problemów kolonialnych, czy było lub jest na świecie choć jedno państwo, które to robi. Poco więc

zajmować się rozpatrywaniem problemu, kto jest napastnikiem, kiedy nie da się stąd wyciągnąć żadnych praktycznych konsekwencji. A zresztą Virginio Gayda na łamach „Voce d'Italia” twierdzi, że nie Włochy są napastnikiem, ale Abisynja, gdyż agresja nie rozpoczęła się dnia 2 października, lecz odbywała się stale w ciągu poprzednich kilkudziesięciu lat. Francja nie uprzedziła Ligi Narodów o wypadkach, które zmusiły ją później do energicznej i świetnej akcji, przeprowadzonej w Maroku przeciw Abdel Krimowi. Również Anglja nie udzielała szczegółowych informacji Lidze Narodów, aby uzyskać zgodę Genewy na podjęcie działań wojskowych angielskich przeciw wolnym ludom, zamieszkującym północno-zachodnie Indie. — Co zaś do roli Genewy, to Mussolini wcale wyraźnie ją określa. Istnieje rozwiązanie z Genewą, bez Genewy i przeciw Genewie — oświadczył Mussolini wobec ostatnich deklaracji Genewy.

Blok państw centralnych.

Europa zaambarasowana wybuchła wojną abisyńsko-włoską, ma nowy pasztet do przełknięcia. Pasztet ten preparuje Budapest do spółki z Niemcami i Polską. Sprawa zresztą nie od dziś była przygotowana

i nie od dziś wiadomem jest, że pewne koła węgierskie wielkie pokładają nadzieje w Berlinie. Obecnie jednak dla tej sprawy stworzyła się specjalnie przychylna konjunktura, wobec zbliżenia Polski z Niemcami. Wizyta premiera Gömbesza w Berlinie stawia całą tę sprawę na porządku dziennym. Według komunikatu Havasa, w kołach dyplomatycznych Berlina przywiązują do rozmów obecnych jeszcze większe znaczenie, niż mówi o tem prasa. Mówi się ni mniej, ni więcej, jak tylko o nakreśleniu podstawy nowego systemu politycznego. Przewiduje się w bliższym lub dalszym okresie czasu utworzenie bloku państw centralnych Europy, który objąłby Niemcy, Węgry, Austrję i, być może, Polskę. Ponadto przewidują, że obecny kryzys polityczny sprzyja przyłączeniu się do tego bloku i innych jeszcze państw. Blok ten byłby zwrócony przeciwko Małej Entencie i Entencie Bałkańskiej, które opierają się z jednej strony o Francję, a z drugiej o Moskwę.

Z TEATRU

„Pan Damazy” Blizińskiego, wystawiony w teatrze Narodowym, ma ten sam czar



Wojownicy abisyńscy

atmosfery staropolskiej, jaki wieje od komedji fredrowskich. Oczywiście niektóre postaci Blizińskiego, jak np. Gucio, usiłują używać języka już nie romantycznego, a pozytywistycznego, lecz w swym rdzeniu duchowym są właściwie wszystkie romantyczne. A Gucio jest jednak, przy całym bajecznie ironicznym rysunku tej figury, najbardziej chyba romantyczny. Chcecie dowodów? Przypatrzcie się scenie, w której usiłuje pocieszyć Mańkę, a następnie podziwiajcie delikatność, z jaką żegna się z nią przed wyjazdem.

To przeobrażenie troszkę trzpiota, troszkę rezonera w zakochanego narzeczonego jest zrobione kilkoma tak świetnymi i pewnymi linjami, że może wywołać jedynie poklask dla autora. Świetnie przemiany Gucia odtworzył p. Wesołowski, aktor z tak naturalną zdolnością wyrazu komicznego, jakiemu podobnego doprawdy nie łatwo byłoby znaleźć.

Jego partnerką była Świerczewska w bardzo subtelnej kreacji aktorskiej, kreśląca jedyną chyba nieco tragiczną postać w tej jasnej i heztyroskiej naogół komedji.

Lecz Bliziński, wiążąc tę postać z Guciem i nad nią rozpalil światło optymizmu. Jego odbłask umiała pokazać Świerczewska właśnie we wspomnianej scenie pożegnania z Guciem.

Centralną postacią sztuki jest tytułowy pan Damazy, wycieniowany z rozmysłem i taką naturalnością przez Zelwerowicza, że lepszy bodaj od niezapomnianego Frenkla. Pan Damazy jest osiã intrygi, zmierzają

jącej do wyzucia go cichaczem ze spadku po bracie. W atmosferze tej intrygi obraca się początkowo jak Jonasz w brzuchu Lewjatana, jak się to mówi, ślepy na wszystko, Bogu ducha winien.

Gdy jednak prawda wyszła na jaw, w panu Damazym budzi się lew. Następuje najkapitałniejsza chyba scena w całej komedji, gdy pan Damazy, odkrywszy niecną intrygę, puszcza się z oburzenia przez salę w takt poloneza.

W tym jednym odruchu skupiły się wszystkie cechy polskiej psychiki. Ja z wami potańczę — zdaje się mówić pan Damazy. Ale „taniec” ten jest pełen elegancji, pan Damazy ma nazbyt pocziwe serce, by zrobić komu krzywdę.

Nie robi jej nawet pani Żegocinie, wdowie po bracie, która chce go wywieść w pole, i broni ją przed zalotami rejenta, za usługi natury prawnej usidlającego kobietę.

Ćwiklińka jako Żegocina, to był drugi arcytwór charakterystycznej figury komedjowej. Jej spazmy były szczytem umiaru w pokazaniu tak bardzo kobiecej, a tak na scenie niebezpiecznej sytuacji. A jej wyrachowane czułości do rejenta powitano burzą oklasków. Podzielił się niemi z artystką pan Stanisławski jako rejent, godny następcą gry w stylu Kamińskiego.

Całość komedji pełna życia, świetnie wyreżyserowana przez Zelwerowicza.

„Król Lir” na scenie teatru Polskiego, to drugi dowód, że TKKT wchodzą w pełnię sezonu. Centralną postacią kreuje Wę-

grzyn, znakomicie wydobywający na jaw pewne cechy charakteru króla Lira, świadczące o tem, że poprostu jest to człowiek zbliżający się do szaleństwa.

Stąd nietylko na jego córki spada wina za los Lira. Być może dzieci chciały go wyzuć z władzy, co oczywiście jest karygodne, powiedzmy potworne, z drugiej jednak strony chciały się same wyzwolić spod tyranji okrutnego ojca i to zupełnie łatwo możemy je wyrozumieć. Ojciec ojcem, ale tyran tyranem, to swoją drogą.

Znakomitą dano oprawę do Szekspirowskiego arcydzieła, ukazując je z całym przepychem, na jaki stać teatr Polski.

„Walka kobiet” należy do klasycznego repertuaru Sardou, gdzie niema, mimo pozorów, wielkości zagadnień, ale gdzie jest świetny pierwiastek teatralny, wielkie role aktorskie, samograje. Sardou lubił pisać swe sztuki w ten sposób, że brał pomysł od jakiegoś podrzędniejszego literata (w tym wypadku uszczuplił tekę niejakiego Legeuvé), następnie w dyskusjach z aktorami obrabiał go według najlepszych wymagań sceny.

„Historja w „Walce kobiet” jest dość banalna. Starsza pani rywalizuje z dziewczyną o względy tego samego mężczyzny. Przytem dama jest mądra, szlachetna, ale stara, młoda zaś, jest głupia gęś, ale młoda, młoda, młoda... Czyli ma cztery główne, choć jednakowe atuty, wystarczające za inne cnoty. I trzeba przyznać, nie wiem, ku chwale, czy sromocie mężczyznu,



Scena końcowa „Króla Lira”



Nowy rząd Rzeczypospolitej

ze tymi atutami, „bez atu” bije ich na całej długości.

Nieszczególnie wyglądają oni w świetle tej sztuki. Okazuje się, że mądry mężczyzna nie tak znów bardzo potrzebuje mądrej kobiety, jak przedewszystkiem młodej i świeżej. I ta młodość i świeżość więcej mu się podoba.

Dajmy spokój tym refleksjom. Oddajmy się urokowi tej walki kobiet, stoczonej przez znakomitą Ćwiklińską, reprezentującą w sobie zalety Aspazji i Hipolity, Safony i matki Grakchów (może trochę przesadziłem) oraz przez pełną wdzięku młodości Barczewską. Młodzież bez reszty, bez żadnej przyprawy soli atycznej. Jak się jest młodym, czegoż trzeba więcej. Cz-ki.

Z PIŚMIENICTWA

Testament Sienkiewicza. W Obłęgorku odnaleziony został testament Sienkiewicza. Sądząc z okoliczności, w jakich go znaleziono, nie można go uważać za ostateczną wolę pisarza, tembardziej że przeszło dwa lata życia przed śmiercią spędził Sienkiewicz poza Obłęgorkiem, bądźco bądź jednak tak późne odnalezienie testamentu świadczy, że spadkobiercy nie zadbali o pełne zinventaryzowanie pamiątek po Sienkiewiczu. Uważać to należy za objaw bardzo przykry. (ch)

Pomnik Konopnickiej we Lwowie. We Lwowie zorganizowana została akcja, mająca na celu wzniesienie pomnika Marji Konopnickiej. Pomnik stanąć ma w parku Stryskim nad jeziorkiem. (ch)

Ul. Rodziewiczówny. Nadmorskie miasto-ogród Rumja-Zagórze, liczące już do dziesięciu tysięcy mieszkańców, jedną ze swych ulic nazwało imieniem Marji Rodziewiczówny. Jest to pierwszy wypadek tego rodzaju. (ch)

Wańkiewicz za północnym kordonem. „Niepoczytalny” Wańkiewicz, jak go nazwali recenzenci jego Opierzonej rewolucji, będącej reportażem z Sowietów, ugruntowuje swą „niepoczytalną” opinię. Poza Sowietami zwiedził kiedyś Meksyk, opisał to w książce, ale zapowiedziana

książka najnowsza będzie prawdziwaniem-spodzianką: zaprowadzi czytelnika w niemniej egzotyczne strony — do Prus Wschodnich. Jak można sądzić z tego, co zostało opublikowane dotychczas, będzie ta książka czynem nie tylko literackim, lecz przedewszystkiem społecznym. „Ukryta polskość — opowiadał Wańkiewicz o Mazurach — trzeba z tamtych ludzi dopiero wywabić, delikatnie, tak żeby nie zastraszyć, nakłonić ich do polskiej rozmowy, a wtedy pokazuje się, że jak odkrywka płytko leżąca, pod warstwą niemczyzny kryje się skarb polskiej mowy. Jest to mowa pełna uroku, patyny sięgającej czasów polskiego władania na Warmji, albo i jeszcze dawniejszych — tak jakby przekroiło się kawał bursztynu, gdzie widać kolejno wszystkie warstwy. Nawet gdy wiele słów biorą z niemieckiego, czynią to z jakimś swoistym wdziękiem. Niemczyzna Mazurów jest tak spolszczona, zesłowiańszczona, że przestaje już być niemieczną. Niemiecki Johannsburg przemienia się na Jansbork, dziewczyna woła: zara, zara, tylko weźme sznyptusiek. Ktoby się domyślił, że sznyptusiek to jest niemiecki Schnupftuch!” Okazuje się, że mimo germanizacji w szkole, dziecko często przechodzi proces repolonizacji w domu — w okresie dorastania. Niemcy świetnie z tego sobie zdają sprawę i dlatego właśnie przed paru tygodniami zabronione zostało przez władze pruskie rozpowszechnianie wśród Mazurów Krzyżaków Sienkiewicza. Wedle doniesień prasy, „powieść ta nie może być dozwolona do czytania, zwłaszcza teraz w okresie paktu polsko-niemieckiego, z którego duchem nie jest zgodna”; jednak powód właściwy daje się wyczuć odrazu: zadużo powrotów do polskości spowodowali Krzyżacy wśród ziemczonych Polaków. Dziś z tej siły przyciągającej Sienkiewicz nie stracił nic a nic. (ch)

Wielki Teatr Wyobraźni. Z dniem 3 października rb radiowy Teatr Wyobraźni uzyskał epitet: Wielki. „Dopiero dniem dzisiejszym — mówił Roman Zrębowski — Teatr Wyobraźni wkracza na nowe tory.” Istotnie, czas był już najwyższy, by dać zadośćuczynienie za skandal z po-

przedniej niedzieli, skandalem bowiem tylko nazwać można dopuszczenie przed mikrofon fragmentu „Trójki hultajskiej” Jana Nepomucena Nestroy’a w tłumaczeniu i opracowaniu Witolda Hulewicza. Może humor tego typu robi wrażenie na arenie cyrkowej, ale mikrofon ma tylko tyle z nią wspólnego, że i on, i ona mają kształt koła. „Chcę wierzyć, że dzisiejsze słuchowisko będzie szczęśliwym początkiem odrodzenia Teatru Wyobraźni w Polskim Radjo” — kończył swój wstęp Zrębowski. Słuchowiskiem tem — to Noce Teresy Zofji Nałkowskiej z Polskiej Akademji Literatury. Nasza jedyna akademicka zaczyna nas przyzwyczajając do tego, że jednocześnie z utworem beletrystycznym daje nam utwór dramatyczny; Ściany świata wyszły w parze z Dniem jego powrotu, teraz Noce Teresy mają za towarzyszkę Granicę — zdumiewająco zimną powieść o rzeczy tak płomiennej, jak dzieje ludzkiej miłości. O ile Granica ma podkład ideologiczny, wmontowany w nurt jej fabuły organicznie, o tyle Noce Teresy są tylko ciekawie pokazaniem zdarzeniem, które samo sobą nic nie wyraża. Mikrofonu nie zdobyła Nałkowska tak, jak teatru; pomimo pozorów słuchowisko nie było zwarte, stanowiło raczej część większej całości. Treścią swą nie należało do kategorii rozrywkowych, ale też nie dało wyraźnego materiału do przemyśleń, bo dyskretnie rozrzucone aluzje przy słuchaniu nie mają tej siły sugestywnej, co w teatrze. W każdym bądź razie Noce Teresy były premierą Nałkowskiej, w której uczestniczyła cała Polska. Niezawodnie zostaną one przełożone na języki obce. (ch)

Z bohemy do kolonij. Jeden z poetów Młodej Polski — Wincenty Korab-Brzozowski, piszący także po francusku jako Vincent de Korab i należący do paryskiej cyganerii z początków tego wieku, od wielu lat nie już nie publikuje. Twórczość jego ustała z chwilą wyjazdu do kolonij francuskich, gdzie bawi do tej pory i skąd dochodzą o nim skąpe tylko wiadomości. (ch)

Egiptski rodowód Kopciuszka. Nie trzeba chyba przypominać bajki o Kopciuszku i jej zgubionym pantofelku? Każdy zapozna się z nią w dzieciństwie i tak już jest od wielu pokoleń. Zнали tę historję niezwykłą nie tylko nasi przodkowie średniowieczni, nie tylko starożytni Rzymianie; bajka o Kopciuszku sięga czasów egipskich. Oczywiście, nie we wszystkich szczegółach, ale zasadniczy zgrab bajki był ten sam. Kopciuszek w tych odległych czasach nie był sierotą, nie posiadał jeszcze złej macochy, nie wybierał grochu z popiołu — był piękną Rhodope. Raz zdarzył się jej osobliwy wypadek: oto orzeł porwał jej pantofelek i nadomiar wszytkiego rzucił go nad pałacem faraona w Memfisie, tak że spadł wprost u stóp tronu. Faraon Psammetich uważał za swój obowiązek zakochać się „na niewidzianego” we właściciela pantofelka, rozesał z nim gońców, zaczęło się przymierzanie i tak Rhodope została królową. Z przykładu tego widać, że nawet bajki dla dzieci mogą się pochwalić pochodzeniem nie tylko egzotycznym, lecz i starożytnym. Na badanie wątków powieściowych uczeni współcześni zwracają uwagę coraz większą. (ch)

Dział Kobiety

DLA DUSZY.

Są, którzy i sami trwają w pokoju i z drugimi pokój zachowują.

Są, którzy i sami nie trwają w pokoju i drugim go nie dają: tacy wielkim są ciężarem dla drugich, a jeszcze większym dla siebie.

Nakoniec są, którzy i sami siebie zachowują w pokoju i drugim go przywrócić usiłują.

A jednak cały nasz pokój w tem nędznym życiu, za-

leży raczej na pokornem i cierpliwem znoszeniu przeciwności, aniżeli na tem, żeby ich nie czuć i nie doświadczać.

Kto lepiej umie cierpieć, ten doskonalszy pokój mieć będzie. Ten jest zwycięzcą samego siebie i panem świata, przyjacielem Chrystusa i dziedzicem Nieba.

Tomasz à Kempis.

O naśladowaniu Jezusa Chrystusa.

MÓJ ODPOCZYNEK

Samo nazwisko Mistrza Paderewskiego, którego miałam szczęście widzieć, niezawodnie tak zajęło moje Szanowne Czytelniczki, że oczekują „Rodziny Polskiej”, a w niej „Działu Kobięcego” z dotrzymaniem mojej obietnicy.

Tym razem proszę je, aby zechciały łaskawie w dziele literackim i podziwiać piękną podobiznę genialnego Mistrza i tam znaleźć moją opowieść o spędzeniu pięciu dni pod Jego dachem, w Jego atmosferze, którą umie zamienić na jedno technienie piękna, dobra i mimo wielkiej prostoty, nastroić ją na takie tony, które podnoszą duszę, koją, łagodzą, a myśl ślą wzwyż, z dziękczynieniem, że jest jej dane to wszystko obejmować i to dobro — odczuwać.

Opowieść jest dłuższa, ramy naszego działu jej nie zmieściły. Redaktor naczelny gościnnie udzielił mi szpalt, na których pięknie wyszła także podobizna tej orleń głowy Paderewskiego.

* * *

Z Morges, niewielkiego, ale ślicznie nad Lemaniem położonego miasta, z którego nadbrzeżnej promenady rozciąga się szeroki widok na łańcuchy gór, z lodowym szczytem i wiecznie srebrzystym płaszczem śniegów okrytym góry Mont-Blanc, wyjeżdżałam z prawdziwym żalem. Hotel wygodny. Gospodarz uprzejmy. Sekretarka oddana, gotowa do dawania wszelkich objaśnień — cudzoziemkom.

We wspomnieniu piękna Lozanna, która robi wrażenie, choć mała, wielkiego miasta, taki w niej duży ruch — a o dwadzieścia minut zaczarowana kraina, siedziba pana Prezydenta Paderewskiego, wszystko to minie za chwilę. Czy się powtórzy?

Na dworcu żegna nas drogie Towarzystwo z Riond-Bosson. Pan Prezydent przysyła skrzynki z owocami. Państwo Strakaczowie przywożą pamiątki miłe. Panna Helena Lübke darzy czekoladkami z Lozanny, Anetka kwiatki daje, słowem te drobne, a tak drogie odruchy, które ludzi wiążą i zniewalają. Pociąg odchodzi. Jedziemy do Berlina.

Mówię w liczbie mnogiej, bo mam towarzyszkę w naszej znakomitej artystce. Panna Kazimiera Dąbrowska, po zrobieniu świetnego szkicu pana Prezydenta, jest w wyśmienitym nastroju. A że miłość dla sztuki łączy z miłością natury, więc co chwila wybucha zachwytem dla pięknych widoków Szwajcarii.

W Berlinie się rozstajemy. Ona jedzie wprost do Warszawy, ja zostaję w stolicy Niemiec, gdzie mam drogą mi rodzinę, w której jestem przyjęta z radością z ich strony, z uszczęśliwieniem mojem, bo zastaję dom tak kochającego się małżeństwa, że wprost chwilami rozrzewniała mnie ta, na każdym kroku widna, chęć robienia sobie z życia — nieba na ziemi.

Daj im Boże zachować to do końca dni!

Mają samochód. Benzyny nie szczędzą, więc całe dnie jesteście nazewnątrż domu. Obwożą mnie po okolicach Berlina, który otoczony jest setką jezior, zielenią, po drogach asfaltowanych, budząc mój zachwyt i nieco zazdrości, że u nas jeszcze ich mamy tak mało.

Potężna jest stolica — wielkiego narodu. Znam ją dość dobrze. Mieszkając dwanaście lat w Krakowie, bywałam często w Berlinie. Miał wtedy wspaniałe teatry, repertuar sztuk ciekawy — operę znakomitą. Wystawy sztuki zajmujące. To się zmieniło.

Ani razu nie chciało mi się iść do teatru, bo repertuar obcy. Nie czytałam o żadnej szczególnej wystawie obrazów. Kina mnie nie nęciły. Ale, natomiast, podziw wzbudzała we mnie komunikacja, elektryczne miejscowe pociągi, wożące robotników, urzędników, dzieci do szkół. A dalej nowe zupełnie dzielnice domków dla robotników, których setki i setki się budoje, wykończa i natychmiast znajduje nabywców. Tereny wybrano lesiste, więc każdy domek ma zieleni. Drogi wiodące do tych osiedli, ulice wewnętrzne, kanalizacja, elektryczność, wszystko gotowe.

Skromne, ale schludne siedziby ludzkie, budzące i podziw i znów mimowolne westchnienie z tem: kiedy nasz robotnik będzie tak mieszkał!

Olbrzymia stolica rośnie, ale, pilnie bacząc dokoła, stwierdzałam ciągle, że istotnie Niemcy mają ciasno, bo obszarów pustych prawie się nie widzi. Osady, wsie, miasteczka i miasta, to jeden łańcuch, wśród którego jeszcze olbrzymie przestrzenie fabryczne, setki kominów, dopełniają całości, świadczącej o wytężonej pracy i olbrzymim rozroście przemysłu.

Każdą drogą jedzie się pewnie i znakomicie, jeśli lasem, to utrzymanym niby park spacerowy. Jeziora otoczone prześlicznymi willami prywatnymi i domkami skromnymi. Wszędzie nietylko ład, ale zamiłowanie do zdobienia swych mieszkań, więc tonie wszystko w kwiatkach. Wycieczki harcerskie i dziatwy szkolnej spotyka

się często. Ruch uliczny, olbrzymi. Ale! ale nie widziałam wśród tego tempa życia ruchliwego, wśród tych dokumentów pracy i dążenia do doskonalenia warunków fizycznego bytu — nie widziałam — ani jednej twarzy uśmiechniętej, nie słyszałam głośnej rozmowy, nie wyczuwałam wśród tego piękna natury i dobytku i dosytności, coby wyrażało: radość życia.

A przecież dążeniem człowieka nie jest konieczność udręki.

Można i należy wyrobić w sobie odporność na trudne chwile, można i trzeba umieć z chrześcijańską wiarą znieść wszystko — co los niesie, ale mając tyle, ile ma naród niemiecki, ile mu daje piękno jego kraju, ile

chwały mu przyniesli uczeni, poeci, artyści, ile rąk robotniczych stworzyło mu pierwszorzędną przemysł, należałoby, żeby nie giął go do ziemi, jakiś terror, i żeby natomiast jasno patrzył i pogodnie w przyszłość, która ma dość warunków dla uszczęśliwienia go — bez krzywdy bliźniego, bez zaborskich planów nadmierną pychą dyktowanych.

Takie refleksje towarzyszyły mi przez kilka dni pobytu wśród moich kochanych, którzy, mając dużo szczęścia w sobie, umieli je ze mną dzielić i zacierać wrażeń, jakich po wielu latach niebytności w Niemczech, doznawałam jednak na każdym niemal kroku.

L. Kotarbińska.

ODDZIAŁ KOBIEC LIGI MORSKIEJ I KOLONIALNEJ, MA SWOJE MIŁE DOROBKI

Jednym z takich był właśnie współdziałal naszemu członkini w spływie, który z inicjatywy generała H. Kwaśniewskiego prowadzili pp. Janczewski i Sikorski od „Bałtyku do Morza Czarnego”.

Własnym kajakiem, z pomocą materialną Oddziału, dwie młode studentki pp. Marja Bukarówna i Janina Cichočka, stawiały się w oznaczonym terminie w Kołomyi, aby Prutem, rzeką piękną, płynącą w uroczym otoczeniu wzgórz, zarośniętych lasami, ale o kamienistym dnie, dostać się do wartkiego Dunaju i już aż do Konstancy, pokonywując trudności, dotrzeć do Morza Czarnego.

Droga była pełna wrażeń.

„Siedzimy pierwszy raz na kajaku razem, mówi nam p. Bukarówna, jesteśmy niezgrabne, a oto kajak idzie jak lalka, a ruchy nasze są jak ruchy jednego człowieka.

Naraz, widzimy, że woda wdziera się do naszego kajaka. „Jezus, Marja! Nasze Morze Czarne!” — prawdziwy krzyk rozpacz. Ostry dziób płynącego tuż za nami kajaka werznął się w nasz na pół metra, wyłamując dziurę o średnicy 60 cm. Wyskakujemy w wodę. Kajak wyciągamy na kamienie na środku Prutu. Dyktę mamy, ale jej za mało do załatania. Janka zostaje w wodzie i jeszcze wskazuje niebezpieczeństwo innym kajakom, kierując je dla ominięcia kamieni. Ja ruszam po materiały niezbędne do naprawy o 4 klm pieszo. Wracam, łatamy kajak i późną nocą stajemy w Śniatyniu.

Pierwszym rumuńskim posterunkom oddajemy salut, podnosząc wiośła do góry.

Wieczorem zjeżdżamy wszyscy do miejsca postoju. Wzruszają nas serdeczne powitania, napisy „Neh zie Polska”.

Wrażenia się potęgują. W Ripiczeni, na szerokim błoni, gra orkiestra. Nasi podnoszą w górę ich dygnitarzy. Podoba im się to. Wstępują życie. Tańczą. Chłopcy z fantazją zsuwają czapki, dziewczynom aż się oczy śmieją, obejmują się ramionami i wokół ogniska hasają coraz zwiżej, coraz prężej. Wkrótce i my wступujemy w kolisko. Niepomne zmęczenia dzisiejszego, trudu

dnia jutrzejszego. porwane ogólną wesołością, tańcowałyśmy do późna w nocy. (Brawo!)

W zespole, witającym nas w Dranczeni, wyjechały na nasze spotkanie trzy łodzie. Na jednej z nich siedziała starsza niewiasta w stroju narodowym rumuńskim. Ma czterech synów skautów-żeglarczy i zawsze z nimi jeździ. Cały spływ ją szanował i pokochał, a w Galacie czcigodna „Mamagaja”. bo tak ją nazywaliśmy, zaprosiła nas na nocleg do swego domu”.

Dalej jeszcze opowiadają nam nasze harcerki o powitanium Morza Czarnego i jak, nie mając ani leja przy duszy, jednak dostały się do Konstantynopola i mogły się zachwycać jednym z najcudniejszych widoków świata, czarodziejskim Bosforem.

Toteż one obie są wdzięczne Oddziałowi Kobiec L. M. i K., że im dopomogła do zrobienia tej wycieczki, a oddział dumny jest z pochwał, jakimi darzą przewodniczy wyprawy dzielność naszych przedstawicielek. Niech żyją studentki-harcerki i żeglarki, które tak pięknie zrealizowały nasze pragnienia!

L. K.

OTYŁOŚĆ osłabia serce

Serca otyłych, obłożone warstwą tłuszczu, pracują z wysiłkiem, wyczerpują się i wcześniej odmawiają posłuszeństwa. Otyłość spowodowana jest złą przemianą materji, albo zaburzeniem czynności gruczołów dokrewnnych.

Ziola Magistra Wolskiego „DEGROSA” zawierają jod organiczny, znajdujący się w morskiej roślinie Yahanga, który pobudza organizm do spalania nadmiernego tłuszczu. Stosuje się je przeciwko otyłości i nie wymagają one specjalnej diety.

Ziola ze znak. ochr. „Degrosa” do nabycia w aptekach i drogerjach (składach aptecznych).

Wytwórnia Magister E. Wolski, Warszawa, Złota 14, m. 1.

ZE „ZWIĄZKU PAŃ DOMU”

Pierwsze zebranie członkowskie Z. P. D., Oddziału Warszawskiego, odbyło się 4 października r. b. Na zebraniu tym p. Marja Karczewska podzieliła się z członkiniami swymi wrażeniami z wystawy wszechświatowej w Brukseli.

Przejeżdżając przez Berlin, p. Karczewska zapoznała się z przyrządzaniem moszczu, którego spożycie jest bardzo rozpoznane w całych Niemczech.

Jest to napój bezalkoholowy, sporządzony z owoców, wobec czego prelegentka zaznaczyła, iż pożądanem byłoby rozpowszechnić go i u nas. W dalszym ciągu swego interesującego referatu p. Karczewska podała do wiadomości, iż w Brukseli została zaproszona do Jury Konkursu „Sprawności Gospodarczej”, w którym brały udział: Francja, Hiszpanja, Włochy i ks. Luxemburskie.

Na jednym z zebrań poruszono sprawę służby domowej, która tam również nie jest należycie rozwiązana, tak jak i u nas. Pracownicy domowe są zaangażowane z zagranicy, w tem z samej Polski znajduje się 13 tysięcy dziewcząt.

Na wystawie brukselskiej zwracały wielką uwagę tkaniny, szkło i srebro domowe.

Zarząd Główny podał do wiadomości, że powstały 4 nowe Oddziały Z. P. D. w Gdyni, Płocku, Inowrocławiu i Wejherowie, co

świadczy o rozwoju naszej instytucji. Od 1/X 35 r. „Chwilka dla pań” w Polskim Radjo nie jest już redagowana przez Zarząd Główny Z. P. D. Pismo od dnia 1/X 35 r. wychodzi dwa razy w miesiącu, opłata jednak nie została zmieniona. O tem, czy przedmioty użytku domowego są celowe w użyciu, wypowiedziała się Dyrektorka Instytutu Gospodarstwa Domowego z apelem do wszystkich członkin, aby przy kupnie tychże, zwracały uwagę na cechy Instytutu, jak również domagały się od kupców i fabrykantów cechowania przedmiotów.

Przewodnicząca, w dalszym ciągu porządku obrad, położyła nacisk, na konieczność przeszkolenia przeciwgazowego wszystkich członkin.

Wystawy, urządzone przez Wydział Mieszkań i Urzędzeń, cieszą się powodzeniem i uznaniem, czego dowodem jest przyznanie „medalu srebrnego” przez Wystawę „Len Polski”. Wydział Mieszkań i Urzędzeń zakomunikował, że wystawa mieszkanka jednoizbowego przedniej jest na ul. Karolkową 62 do lokalu Szkoły Powszechnej, gdzie odbywają się pokazy z dziedziny gospodarstwa domowego.

Wydział pokazów kulinarnych ogłosił, iż w październiku odbyły się pokazy drobiu, dziczyzny, przyrządzania ryb na zimno i gorąco z uwzględnieniem estetycznego podawania. Prócz tego

sekretarjat przyjmuje zapisy na kursy dla pań, dla dzieci oraz dla służby domowej.

Wiadomości z całokształtu gospodarstwa domowego udziela poradnia czynna w roku bieżącym dwa razy tygodniowo, w poniedziałki i środy od 12—14-tej.

Lekcje robót ręcznych odbywają się w każdy poniedziałek od godz. 17 i pół do 18 i pół.

Wydział Klubowy przypomina członkiniom o czwartkach towarzyskich.

Od jesieni r. b. jest prowadzona skrzynka zapytań. Odpowiedzi udzielane są na zebraniach miesięcznych lub w poradni Związku.

PO WAKACJACH

Wiemy, że setki i setki ludzi powie: „Jakie tam wakacje! Nie miałam żadnych. Nie mogłam się za Warszawę ruszyć, bo nawet bilet kolejowy czy autobusowy był luksusem, zwłaszcza jeśli rodzina składa się z kilku osób”.

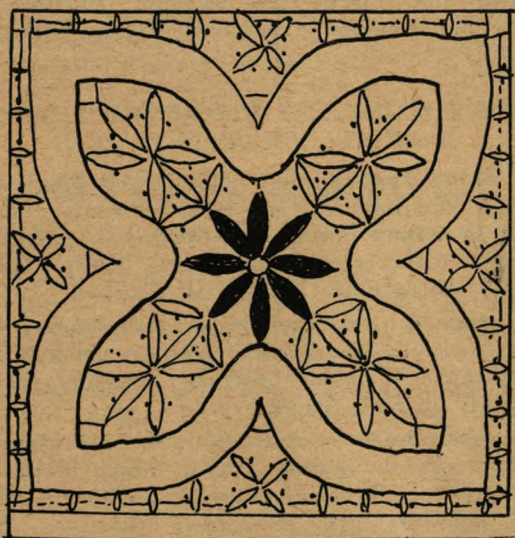
Racja, ani słowa. A jednak, po tych paru miesiącach, kiedy dziatwa nie chodzi do szkół, kiedy ten i ów miał urlop, bodaj ograniczający się na niechodzeniu do biura, co dnia, kiedy wreszcie, słońce się chowa, a zima melduje swą wizytę, trzeba dom ogarnąć. Trzeba okna zaopatrzyć, aby szpary nie kradły ciepła, trzeba ubranie przepatrzyć, jedno uprać, drugie podłużyć, bo dzieciaki rosną. Jeszcze inne przerobić. Trzeba jakieś małe zapasy useregować. Balkony uporządkować, żeby zwiedłemi łodygami, kiedyś pięknie kwitnących petunii, nie szpeciły ulicy, zamiast ją zdobić.

Trzeba najskrupulatniuszem sprzątaniem niedopuszczać plagi robactwa, które nawiedziło podobno Warszawę. Trzeba zdwoić mycie, szorowanie, bo to jedno chroni od tego, z czem ani żyć się niepodobna, ani do tego przyzwyczaić.

Książki szkolne, dzieciom zbędne z ubiegłego roku, oddać do Macierzy Szkolnej, Krakowskie Przedmieście 7. Przeczytane, a dobre powieści, o ile się nie zbiera biblioteki, wraz z piśmami, posłać do Szpitala im. Piłsudskiego, wprost Politechniki. Tam są jeszcze chorzy od wojny.

PODRĘCZNIKI KORONKARSKIE

Wśród badań zdobnictwa ludowego, a szczególnie haftów i koronek, spotykamy bardzo często ślady gospodarki licznych instruktorek i młodych nauczycielek, które muszą w zapadłych wioskach uczyć robót ręcznych.



Motyw klockowy

Jest to zadanie przewyższające ich siły, gdyż z kursów i seminarjum, nie wynoszą tak gruntownych wiadomości z tej dziedziny, brak również odpowiedniego materiału na miejscu, sprawa, że dzieci wiejskie uczą się nieraz dziwolągów hafciarskich

NAJLEPSZE NICI „SPECJALNE” „TRZY LILJE”

Na zakończenie zebrania, p. Kiewnarska wygłosiła krótką pogadankę o przetworach, rozdając jednocześnie swoje przepisy.

Następne zebranie miesięczne odbędzie się dnia 8 listopada r. b. o godz. 17,30 w lokalu C. T. R., Kopernika 30, na którym referat wygłosi p. dr. Kączkowska p. t. „Badania psychotechniczne”, a p. Iwanka-Prażmowska — pogadankę z zakresu wychowania fizycznego z pokazem ćwiczeń gimnastycznych.

Jeśli jest możliwość opłacania składek na stowarzyszenia, to je uregulować, bo wszystko woła o pomoc.

Pamiętać o inwalidach wojennych w „Latarni”, gdzie są ludzie, którzy w obronie kraju walcząc, potracili oczy, a my jeszcze z łaski Boga, widzimy. Choć jedną bułeczkę dawać instytucji „Dzielmy się”. Ona da sprawiedliwie temu, kto głodny. I „Caritas” nie wzgardzi najskromniejszym datkiem.

A jeśli chodzi o pomoc sprawie, która jest największą dziś potrzebą kraju całego, to zapisać się na członka Ligi Morskiej i Kolonjalnej. Rozbudowa Gdyni, tworzenie tam warsztatów pracy, budowanie Stoczni własnej, z której zdolnymi rękami naszych robotników, będą wychodziły statki: wojenne, handlowe, pasażerskie, rybackie i tworzyły te floty, które są niezbędne, a których brak, oto pomoc prawdziwa, głęboko sięgająca w zabezpieczenie naszych spraw, naszego istnienia i normalnego rozwoju całego kraju.

Dobrze zorganizowany dom, mądrze obmyślony budżet, umiejętności, często niezbędna, powiedzenia sobie: „czas przetrzyma potrzebę”, oto teren, na którym życie rodzinne może się toczyć spokojnie i spełniać to wszystko, co jest obowiązkiem dobrego obywatela kraju.

Mrówka.

i koronkarskich. — Można jednak złemu zaradzić, pogłębiając swe wiadomości koronkarskie na znakomitych podręcznikach Marji Modés-Dudrewiczowej, byłej kierowniczkii szkoły koronkarskiej w Zakopanem.

Autorka wydała z wielkim nakładem pracy i gruntowną znajomością techniki cztery podręczniki: „Koronki Czołenkowe”, „Koronki Teneryfowe”, „Koronki Siatkowe” i „Koronki Igiełkowe”, zatwierdzone aprobatą Ministerstwa Oświaty.

We wszystkich powyższych podręcznikach opracowała zwięzłe i bardzo przystępnie technikę każdego rodzaju koronki, liczne fotografie ściągów i motywów oraz całych wzorów są nadzwyczajną pomocą w opanowaniu koronkarstwa.

Podręczniki wydane są na pięknym, kredowym papierze, co bardzo podnosi wyrazistość fotografii. Zgrabny format wydania i niska cena umożliwiają każdemu nabycie takiego podręcznika.

Wśród wzorów podanych w podręczniku koronek igiełkowych uwzględniono również motywy zdobnicze zakopiańskie, a więc szarotki, dziewięciorniki, szyszki, kosodrzewinę i luleje.

Oprócz omówionych już podręczników, wydała Marja Modés-Dudrewiczowa 40-stronicową książeczkę p. t. „Krótki zarys rozwoju koronkarstwa europejskiego”, gdzie przedewszystkiem daje przegląd korzyści zarobkowych, jakie może przynieść ta gałąź przemysłu dobrze zorganizowana i rozszerzona na wsie w Polsce.

W książce tej opracowany jest stan koronkarstwa we Włoszech, Francji, Belgji, Holandji, Czechach, Niemczech, Saksonji, Danji, Szwajcarii, Grecji, Anglii, Skandynawji, Rosji i Polsce.

Historja koronkarstwa w Polsce daje nam jasny obraz historii sztuki koronkarskiej już od XVI wieku, aż do chwili obecnej.

W drugiej części tej pracy podaje Marja Modés-Dudrewiczowa praktyczne rady zorganizowania pracowni koronkarskich na eksport, które przyniosłyby dobrobyt ludności wiejskiej i zmniejszyły bezrobocie w miastach.

Książka ta powinna znaleźć się w ręku każdego organizatora przemysłu, a niezawodnie przyniesie mu korzyść materialną i będzie bodźcem do uprzemysłowienia kraju.

Marja Stefkowa.

Czytajcie i rozpowszechniajcie pisma katolickie

SUKNIA WIZYTOWA

Dajemy dzisiaj naszym Czytelniczkom model sukni wizytowej z crêpe satin. Fason ten nadzwyczaj uszczupla spowodu długiej linii, biegnącej od bioder aż do dołu. U góry przód lekko marszczony, a rękaw tworzy jedną linię z ramieniem, jest szeroki u dołu i suto marszczony, a zakończony długim, wąskim mankietem. Z przodu spinamy suknię ładną broszką, lub dla odmiany mogą panie przypiąć w tym miejscu kwiat, obecnie rzecz bardzo modna.



Całości dopełnia kapelusz z velouru, ozdobiony dużym piórem, srebrny, lub zwykły lis dopełni znakomicie toaletę.

Kwiat mogą panie z łatwością same wykonać z organdy w kolorze sukni, ale o jaśniejszym odcieniu. Na rysunku podajemy kształty pojedynczych motywów kwiatu.

Brzegi płatków skręcamy w palcach, przez co tworzy się zwinięty rąbek, u nasady płatka robimy kilka zakładek i naszywamy je na krąg wycięty ze sztywnego materiału, zaczynając od większych, zewnętrznych płatków. Środek wykańczamy zwiniętym w kółko wąskim kawałkiem organdy, wyciętym w zęby, jak to pokazuje nam rysunek.

El. Kotwicz-Onichimowska.

CO ROBIĄ NASZE KOBIETY?

Ze względu na ważność poruszanych spraw, w rubryce, którą podajemy, czerpiąc nasze wiadomości z „Kroniki Kobiecej”, którą w „Kurjerze Warszawskim” doskonale i czujnie prowadzi p. Zofja Zaleska, prosimy nasze Sz. Czytelniczki o baczne ich przeczytanie. Są nie tylko zajmujące, ale i pouczające.

PIERWSZY ZJAZD KATOLICKIEGO STOW. KOBIET NA ŚLĄSKU.

Katolickie Stowarzyszenie Kobiet diecezji katowickiej, odbyło w dniach 14 i 15 września w Panewniku pierwszy zjazd swych delegatek.

Zjazd rozpoczął się w sobotę 14 września błogosławieństwem w kościele, potem odbyły się obrady w obecności około 300 delegatek, reprezentujących 74 oddziały. Stowarzyszenie powstało w listopadzie 1934 r., liczy obecnie 95 oddziałów i około 9.000 członkiń. Przewodniczyła obradom p. dyr. Strawińska. Podczas obrad wy-

głoszono dwa referaty p. t. „Rodzina jako teren działania A. K.” — ks. asystent Sołtysik i „Jak przygotować i wygłosić wykłady” — ks. dr. Kominek. Prezeską została mianowana przez ks. biskupa ordynariusza p. mec. Chmielewska.

W niedzielę jako drugi dzień zjazdu obrady rozpoczęły się wykładem p. dyr. Strawińskiej na temat: „Metody i sposoby pracy oddziałów w parafjach”. Po wykładzie odbyło się ćwiczenie praktyczne oraz pokazowe zebranie plenarne. O g. 10.30 J. E. Ks. Biskup Adamski odprawił przy grocie sumę pontyfikalną, po której przemówił w serdecznych słowach do zjazdu. W południe odbyła się akademja, którą zaszczytli swą obecnością II. EE. Księża Biskupi Adamski i Bromboszcz. Wygłoszono liczne przemówienia powitalne i odczytano szereg nadesłanych życzeń. Przemówienie dłuższe wygłosił J. E. Biskup Adamski. Na zakończenie przyjęto rezolucje i uchwalono wysłać depeze do J. Em. ks. Kardynała Prymasa i p. wojewody Śląskiego.

UCHWAŁY ZJAZDU KOBIET ZAROBKUJĄCYCH W KATOWICACH.

Na tegorocznym zjeździe Stowarzyszenia kobiet zarobkujących w Katowicach, którego wykłady i obrady w głównej mierze poświęcono zagadnieniu rodziny uchwalono szereg rezolucyj, w których podkreślono obowiązek otaczania głęboką czcią rodziny, jako instytucji uświęconej łaską sakramentalną; zwrócono uwagę na konieczność zdobycia przez kobietę gruntownego przygotowania zawodowego, by w razie potrzeby mogła utrzymać się pracą zarobkową; wskazano, jak wielkie znaczenie posiada sumienne przygotowanie się kobiety do wielkich zadań i obowiązków w małżeństwie i wezwano kobiety zarobkujące do energicznego przeciwstawiania się wszystkiemu, co zagraża świętości małżeństwa i zdrowiu rodziny. Jedna z rezolucyj zwraca się do władz państwowych i komunalnych z apelem, by przez stworzenie dostatecznej ilości żłobków dziennych i przez organizowanie taniej lub bezpłatnej pomocy domowej uzupełniły luki, powstające w życiu rodzinnym, gdy matki z konieczności trudnić się muszą pracą zarobkową.

ZLOT KATOLICKIEJ MŁODZIEŻY ŻEŃSKIEJ POWIATU BRASŁAWSKIEGO.

W dniu 22 września b. r. odbył się w Brasławiu jednodniowy zlot katolickiego stowarzyszenia młodzieży żeńskiej z terenu okręgu brasławskiego, połączony ze wspólnym uroczystym obchodem „Dnia druchen”. W zlocie wzięło udział około 150 druchen.

Uroczystości rozpoczęły się od nabożeństwa w miejscowym kościele, które celebrował ks. dziekan Mieczysław Akrejć. W czasie Mszy św. druchny gremjalnie przystąpiły do Stołu Pańskiego.

Po niesporach, w czasie których druchny odnowiły swe przyrzeczenie złożone Najśw. Marji Pannie, jako swej Patronce, i krótkiej przerwie obiadowej odbył się pochód dziewcząt przy dźwiękach orkiestry.

Na treść zebrania zlotowego złożyły się: referat p. t. „Jednością silni — razem, młodzi przyjaciele”, przemówienie sekretarki K. S. M. Ż. p. Jadwigi Roszkowskiej oraz przyjęcie kilku uchwał, dotyczących pracy oddziałów w terenie. Zebranie wysłało depezę hołdowniczą do J. E. Ks. Arcybiskupa metropolity wileńskiego.

Wieczorem odbyła się akademja w sali domu Sportowego przy licznych udziale miejscowego społeczeństwa.

CO KAŻDA Z NAS WIEDZIEĆ POWINNA?

Wiedzieć trzeba, że w obiegu handlowym zwiększyła się ilość zafałszowanych przypraw korzennych, jak pieprz, cynamon i in. Kontrola, przeprowadzona w ubiegłym tygodniu przez kontrolerów żywnościowych miejskiego Instytutu Higieny potwierdziła te spostrzeżenia. Zajęto podejrzane o zafałszowanie kilkadziesiąt kilogramów cynamonu i pieprzu.

Badania chemiczne oraz przy pomocy lampy kwarcowej wykazały, iż ziarenka pieprzu były przetworem sztucznym, składającym się z mieszaniny chleba z domieszką nasion kakaolu. Pieprz mielony był mieszaniną sproszkowanych nasion szporku polnego, różnych chwastów i śmieci.

Również mielony cynamon okazał się aromatyczną mieszaniną tartego starego chleba z niewielką domieszką cynamonu, co wskazuje, iż cynamon winien być nabywany tylko w całości. Zafałszowane przyprawy zniszczono, nieuczciwych sprzedawców pociągnięto do odpowiedzialności karnej.

Wiedzieć należy, choćby dlatego, żeby objaśnić drugim wobec ruchu emigracyjnego, a tak źle często informowanych, że Min. Opieki Społecznej wydało nowe zarządzenie w sprawie wyjazdu emigrantów do Paragwaju. Wobec stwierdzenia, że kapitał, zbierany przez emigrantów, nie wystarcza na zagospodarowanie się, ministerjum ustaliło, że emigranci, wyjeżdżający do Paragwaju wraz z rodzinami, posiadać muszą, po opłaceniu kosztów podróży, kwotę pokazową w wysokości zł. 1.500, osoby samotne zł. 800, dotychczasowa kwota pokazowa wynosiła od rodziny zł. 800, od osoby samotnej 530 zł.

Emigranci, którzy będą mogli udowodnić, że znajdujący się w Paragwaju ich krewni zobowiązują się do okazania im pomocy przy nabyciu ziemi, lub innego warsztatu pracy, otrzymają pozwolenie na wyjazd przy zmniejszonej kwocie pokazowej — zł. 1.000 dla rodziny i zł. 500 dla osoby samotnej. Emigranci, którzy posiadać będą wezwania imienne, wydane zgodnie z obowiązującymi przepisami paragwajskimi i polskimi, nie są obowiązani do przedstawiania kwot pokazowych.

Wiedzieć koniecznie, nietylko trzeba, ale jest obowiązkiem wiadomość też szerzyć wśród najszerzych kół swoich znajomych, że: w wydziale opieki społecznej i zdrowia publicznego zarządu miasta odbyło się posiedzenie lekarzy, na którym kierownik miejskiej służby zdrowia zapoznał zebranych z nowym programem pracy, dotyczącym krzewienia zasad higieny wśród najszerzych warstw ludności.

Późną jesienią i w miesiącach zimowych miejscy lekarze sanitarni zorganizują na terenie podległych im okręgów kursy z dziedziny higieny i obowiązującego ustawodawstwa sanitarnego.

Kursy podzielone będą na dwie części, z których w pierwszej wyłożone będą zasady higieny osobistej oraz otoczenia ze szczególnym uwzględnieniem zwalczania chorób zakaźnych. Druga część kursu obejmie cykl wykładów, przeznaczonych dla poszczególnych zawodów, jak właściciele i pracownicy piekarni, przetwórci mlecznych, masarni, fryzjerów, dozorców domowych i t. d.

Kursy prowadzone będą w dni świąteczne, bezpłatnie, uczestnictwo będzie obowiązkowe.

Dowiedzieć się będzie zajmujące dla Sz. Czytelniczek, z których może niejedna już odbyła którą z podróży na pięknym statku motorowym „Piłsudski”, ile zużył prowiantu żywnościowego podczas drogi. Otóż w pierwszej swej podróży z Triestu do Gdyni zużył na zaprowiantowanie pasażerów następujące ilości artykułów spożywczych: 70 tys. jaj, 9 tys. kg. mięsa, 6 tys. sztuk różnego drobiu, 1.400 kh/gg wędlin, 7 tys. kg różnych kompotów, 6 tys. kg owoców, 1.000 kg serów, śmietanki i śmietany, 1.000 puszek kondensowanego mleka, 3.000 kg cukru, 400 kg herbaty i kawy, 600 kg różnych przypraw, 800 beczek piwa, 3.000 butelek lemoniady, 2.600 butelek różnych win i wódek oraz 140 tys. papierosów.

Nie dziwnego, że wobec tych ilości spożytych, wszyscy podróżni doskonale wyglądali po powrocie i, trzeba przyznać, wszyscy chwalili doskonałą organizację. Statek „Piłsudski” znów jedzie do Ameryki w tej chwili, kiedy to czytają nasze Sz. Czytelniczki.

Wiedzieć dobrze dla przyszłości, że za ukwiecone balkony zarząd miejski, przyznał 37 nagród. Pisząca te słowa czuje się dotknięta, że nie dostała nawet dobrego słowa za balkon, o którym wszystkie okoliczne sąsiadki mówiły z zachwytem, a sama napracowała się przy nim bez miary, czyniąc to, coby dla własnej przyjemności, ale i z nadzieją, że ktoś, że coś, a tu tymczasem — nie!

Ale może jeszcze będzie chociaż „list pochwalny”, co obiecuje sąd konkursowy, dla stu osób, jak tylko wróci pan prezydent miasta z Ameryki. Daj Boże!

Wiedzieć nietylko musimy, ale i ułatwiać domownikom wysłuchania koncertów muzycznych, które Zarząd miejski organizuje w różnych dzielnicach. A więc: w parku im. Paderewskiego, w parku im. Żeromskiego, na Żoliborzu, na Wybrzeżu Kościuszkowskim, na Woli, na Ochocie, w parku im. Traugutta i na Kole. Doskonały ten pomysł należy popierać, jest to obowiązkiem wszystkich Pań Domu.

Zabawy są bezpłatne.

ORYGINALNE PROSZKI
 „MIGRENO -
 NERVOSIN”
 R.M.S.W. N°1599
 ZNAK FABR.
Z KOGUTKIEM
 SA ŚRODKIEM
KOJĄCYM BÓLE
 ZASTOSOWANIE :
BÓLE GŁOWY
 MIGRENA, NEURALGJA,
BÓLE ZĘBÓW
 GRYPA, PRZEZIĘBIENIA
 BÓLE : ARTRETYCZNE,
 STAWOWE, KOSTNE I T.P.
 ŻĄDAJCIE ORYGINALNYCH PROSZKÓW
 ZE ZN. FABR. **KOGUTEK**
 SPRZEDAJA APTEKI

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

P. M. W. Adres sekretariatu „Domu dla samotnych kobiet” podawaliśmy. Dla ścisłości jeszcze raz go powtarzamy: Marszałkowska 72 m. 8. Przyjęcie godzina 6-ta (prócz świąt), tel. 8.70.45, tylko o godzinie 5-tej. **P. Aniela Jeziorańska** jest inicjatorką tego pożytecznego przedsięwzięcia. Życzyć jej należy jaknajszyczego zorganizowania tak potrzebnej placówki.

Pannie Helenie K... w Otwocku. Bez „lisa” można żyć. Ale bez ciepłego spodniego ubrania trudniej. Dlatego też radzimy Pani, zamiast wyszukiwać najtańszego źródła nabycia „lisa”, niech Pani włoży ten „zapracowany”, jak Pani pisze, grosz, w ciepłe trykoty, sweter, pończochy, rękawiczki, bo niewiadomo jaka będzie zima. A że najdroższym wydatkiem jest ratowanie zdrowia po przeziębieniu, więc trzeba być uzbrojoną do ochrony przed tem, nieuniknionym faktem, gdyby Pani zawierzyła tylko „lisowi” i już nie mogła niczem ciepłym zaopatrzyć swej garderoby.

Pani W. Zakrz... w Konstancinie. I „Caritas” i „Dzielny się” — to są stowarzyszenia, którym może Sz. Pani z całym spokojem powierzyć swój grosz i być zupełnie pewną, że będzie zużyty na otarcie łez najbardziej wsparcia potrzebujących. Adresy: „Caritas”: ul. Senatorska 31, tel. 523.57; „Dzielny się”: Aleje Jerozolimskie 31 m. 15, tel. 8.54.40. Każda ofiara bodaj najdrobniejsza z wdzięcznością będzie przyjęta.

PISMA NADESŁANE DO REDAKCJI

„**Morze**”, miesięcznik, bogato ilustrowany, poruszający najżywniejsze sprawy, związane z naszymi ekonomicznymi sprawami, handlem i przemysłem.

„**Naokoło Świata**”, miesięcznik, przenoszący nas w egzotyczne kraje, bogato ilustrowany, cena numeru 1 zł.

„**Wychodźca**”, dwutygodnik, poświęcony bardzo ważnym sprawom emigracyjnym.

„**Steer**”, miesięcznik dyskusyjny. Porusza sprawy: kultury, polityki, ekonomii, zagadnienia społeczne, wychowanie fizyczne.

„**Mały Apostoł**”, ukożane piśmko przez dzieci. Prenumerata roczna tylko 1.70 gr., a uciechy dla dzieci i matek — za setki.

„**Królowa Apostołów**”, organ Stow. Misyjnego Księży Pallotyńców, obnajmający nas o pracach misjonarzy, w krajach egzotycznych.

„**Powściągliwość i Praca**”, miesięcznik ilustrowany. Organ Tow. św. Michała Archanioła.

„**Posiew**”, tygodnik, bardzo żywo i zajmująco redagowany.

„**Bluszcz**”, pismo dla kobiet bogate w treści, obejmujące całość zainteresowań kobiecych.

„**Dziecko i Matka**”, dwutygodnik poświęcony naszymi małym, przez informowanie matek o ich potrzebach.

KĄCIK DLA DZIECI

NA JESIENI,

Co też roboty miały biedne skrzaciki na jesieni. Już i listopad się zaczął, a one biedaki ani rusz do swych przytulnych domków pod korzeniami drzew dostać się nie mogły, by wpaść w drzemkę zimową, tyle jeszcze roboty było. Jeszcze te, które zajmowały się kwiatami, jakoś ułożyły je na zimowy sen, puchawą pierzynkę ze śniegu obiecały, byle kwiatki, choćby i ciepła jesień była, kielków spod ziemi nie puszczały, bo przyjdzie przymrozek i wszystko zmarznie i na przyszłą wiosnę kwiatów nie będzie. Najgorszy kłopot był z śniegułkami i krokusami, bo one pierwsze zazwyczaj z wiosną spod śniegu wychodzą i tę ambicję mają, by się innym kwiatom wyprzedzić nie dały. Po ty się raz musiały przyrzekać im krasnalki, że nie zapomną obudzić ich na czas, ciągle niedowierzały i usnąć nie chciały, dopiero groźba, że gdy spać się nie położą, to siłą na wiosnę, do wydośtania się spod ziemi nie będą miały — nakłoniła je do spoczynku. Wyprawiły już krasnalki, bociany, jaskółki, wodne ptactwo, wreszcie i stare szpaki, bo młode wcześniej odlatują, a niektóry młodszy krasnalek pod skrzydło bocianie się wsunął i w świat poleciał, by znów z gilem jakim lub dziką gesią, ciągnącemi na północ, do nas powrócić. Ale mało było takich amatorów jazdy, a choćby tam który i miał ochotę, to roboty było tyle, że trudno się było zabawą zajmować. Krety już spały w swych pałacach podziemnych, bo i pędraki chrabąszczów, ich ulubione pożywienie, też się do snu zimowego ułożyły. Gorszy kłopot był z jeżem, ten ciągle wysuwał ryjek z norki, a potem przeziebiał się i kichał, a gdy krasnoludki chórem „na zdrowie” wołały, to jeszcze na nie mątyczył, że to wszystko przez nich, bo biegają i hałasują, i budzą go z drzemki, a on, myśląc że wiosna, z norki wychodzi i przykrego się kataru nabawia. — Spały już i świstaki w górskich norkach, wysłanych wonnym sianem, starannie przez nich zgromadzonem, usnął i miś kudłaty w jaskini skalnej, tylko kazał się dwu krasnoludkom po uszach skrobać i kołysankę sobie śpiewać i sam mrucząc wraz z piosenką skrzacików, coraz ciszej i ciszej rozbrzmiewającą — w sen zimowy zapadł. Spał i chomik zapobiegliwy w swej norce, pełnej zboża. Śmigala jeszcze czerwona wiewióreczka po drzewach, zbierając resztki orzechów i korzystając z dni słonecznych, ale powoli, powoli pracy coraz mniej było. Jeszcze jagody jałowca odsonić dla kwiczołów, jeszcze gołąg, kalinę, jarzębinę widoczną uczynić dla ptaszków u nas pozostałych, jak sikorki różne, wróble, dzierlatki. Posplatać gałązki misternie,

by zajączek biedny schronić się mógł przed wrogami swemi, rudym lisem i czarną wroną, i wreszcie koniec roboty.

I biedne, zmęczone krasnalki wybrały się na spoczynek, ale nie całkiem tak jak sobie to marzyły, bo nim uporały się z robotą, to i jesienne szarugi przysły i pozalewały im deszczem domki przygotowane, dróżki pozacieraly i grzeb się tu na nowo w marznącej ziemi. Który jeszcze sobie norkę u myszy wynajął, nienajgorzej wyszedł na tem, bo mysz dbała sama o swój domek, ale pod korzeniami drzew gorzej bywało, wilgoć przenikała pod ziemię, posłania z suchych liści przemakały, a znów w pustych obecnie jaskółczych gniazdkach się lokować, to i wysokość niebezpieczna, no i nieprzystojna dla krasnalków konkurencja z wróblami, tą krzykliwą chołotą, co chętnie cudze gniazdo zajmuje i nieproszona pcha się wszędzie, pewna przyjaźni, jako że kraju swego nie opuszcza i przez to mir pewien posiada. Zapraszał też i lis skrzaciki do swej nory, zanim nie naprawią domków zimowych, ale u lisa w norce czuć brzydko, a przytem żywot w pobliżu rabusia takiego niepewny. Nuż jeszcze schrupie współmieszkańca i cóż z tego, że powie potem, że to przypadkiem... U borsuka zatrzymać się można, ale to sobek mrukliwy, niemiłe takie towarzystwo wesołym skrzacikom.

I marzyłyby biedne krasnalki, gdyby im z pomocą nie pośpieszyły skrzaty domowe, dzieląc z niemi kąt za kominem, a skrzaciki leśne i polne, wdzięczne za przytułek, siadają w głowach łożeczek śpiącej dziatwy i, wyręczając swych przyjaciół domowych w opowiadaniu klechd i bajek, prawią dzieciom długie opowieści, jakto bywa w polu, lesie i na łące, w norce zwierzęcej i gniazdku ptasiem, w stawie trzciną zarosłym i nad wesołym ruczajem.

H. Rostafińska-Choynowska.

ZADUSZKI

*Na cmentarzach w światel jaśni groby stoją strojnie —
W ziem zapadłe już mogiły poległych na wojnie.
Zdale leżą od przyjaciół, swej ziemi, rodziny,
Wicher im jeno świszcze, śpiewa — towarzyszył jedyny,
Za tych wszystkich, co polegli na Ojczyzny chwałę —
Zmówmy pacierz i wspomnienie poświęćmy im małe.*

H. R. Ch.

LISTOPAD

*Pospadały liście z drzew,
Ucichł dźwięczny ptaszek śpiew,
Jeno deszczem wicher tnie,
Jeno mroźnem tchnieniem dmie.*

*Przy kominku pora sięść —
Nitki lniane długie prząść...
Z ognia złote iskry lecą —
Stare prządki baśnie klecą.*

*Minie tak jesieni czas,
Śniegiem się pokryje las —
A gdy śnieżek biały prószy —
To wesolo nam na duszy.*

*Wyrzy słonko, stopi śnieg,
Zwolni z lodów wody bieg —
I zaszumią nam ruczaje,
Ze znów krasna wiosna wstaje.*

H. R. Ch.

WESOŁY KĄCIK

Maciuś zobaczył pierwszy raz żywego jeża i woła zadziwiony:
— Mamusiu! Mamusiu! kaktus biega!

MÓJ SAMOŁOT

<i>A mój samolocik Chociaż tak nieduży Wyborał w mych lotach Podniebnych mi służy —</i>	<i>Niesie mnie wysoko Aż hen ponad chmury, Bym dzieńdobry ptaszkom Mógł powiedzieć zgóry.</i>
---	---

H. R. Ch.



PAPUŻKA

*Ta papużka, to pieśczocho,
Jako swoją panią kocha —
Za myśl o nim i staranie
Ptak odplaca przywiązaniem.*

H. R. Ch.



ROZRYWKI I UMYŚLOWE

POD KIEROWNICTWEM WARSZAWSKIEGO KLUBU SZARADZISTÓW.



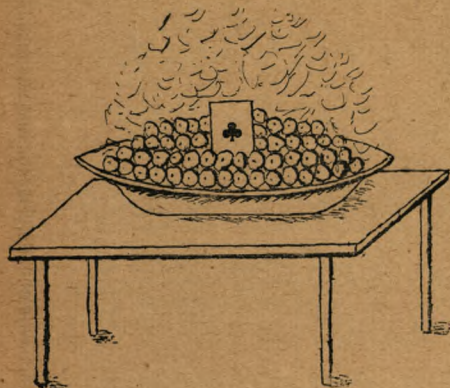
JESIENNA SZARADA-BAJKA.

Snuje się blada
 Pani oniemiała:
 w zrudziałej szacie
 królewska biedota,
 i do trzynastej
 i dwunastej błota
 pięć-cztery perły
 z wędnącego ciała
 i krwawe liście
 z swojej sukni miota.
 Północne wichry,
 drudzy-ósmi-czwarci
 resztek bogactwa
 wypędzonej Pani,
 w pierwszej-dziesiątej-
 szóstej rozkochani
 niosą jej wtóre,
 stroją figle czarcie:
 im, twarz raz-dziesięć-
 jedenasta — za nic.

Sładem dziewiąte-
 siódme-ósmie krocza,
 trzeciej władczyni
 szambelani w bieli.
 Dłoni skinieniem,
 uśmiechem anielic
 trzymaście-sześć je,
 że idą ochoczo,
 choć je igraszka
 wiatrów onieśmiela.
 Ostatkiem siły
 wymijając sosny,
 choć trupia — jeszcze
 dziewięć-jedenasta,
 po abdykacji
 wędruje do miasta.
 Wspak tuzin-siódma
 zajmie tam do wiosny,
 póki las będzie
 zaspami porastać.

„Kasta“ (czł. Kl. Sz.).

REBUSIK.



Wyraz, przypominający kędzierzawego dzikusa — hen aż spod Australji..

„Andrus“ (czł. Kl. Sz.).

Za rozwiązanie powyższych zadań (lub choćby jednego), przeznaczają Redakcja do rozlosowania kilka nagród książkowych. Termin nadsyłania rozwiązań zadań trzytygodniowy.

KAŻDY SZARADZISTA

powinien zaopatrzyć się w „Tablicę alfabetyczną chorągiewkową (semaforu), Mor-



KRZYWDZI SWĘ DZIECKO
 matka, odmawiając mu przez niesłuszną
 oszczędność jedynej specjalnej dla dzieci,
 smacznej, pomarańczowej pasty do zębów
BEBEDONT SZOFMANA
 który usuwa ciemny nalot i zielony osad z zębów.
 Dziecko nie znosi mięty!

LISTOPADOWE MEMENTO ARYTMOGRAF.



Posługując się niżej podanym kluczem, należy (podane u dołu rysunku) cyfry zamienić na litery. Litery te, po porządku odczytane, dadzą jako rozwiązanie czterowiersz poety J. Helbicha.

Klucz pomocniczy:

- a) 1-2-3-4-5-6-7-8 = nazwa miesiąca.
- b) 9-10-11-12-13-14 = rewir (dzielnica).
- c) 6-1-15-16-17 = roślina z grom. grzybów (także: cecha starości).
- d) 18-14-10-20 = budynek przyrządzony do mielenia zboża.
- e) 18-7-19-21-7-22 = niedolega (maruda).

N. K. Kozłowski (czł. Kl. Sz.).

ROZWIĄZANIA ZADAŃ Z NUMERU WRZEŚNIOWEGO 1935 R. LOGOGRYF-EPITAFIUM:

Nie dla siebie na świat przyszliśmy.
 (Tytuły utworów: 1. Niziny. 2. I pieśń niech zapłacze. 3. Eli Makower. 4. Dobra pani. 5. Liść uschły. 6. Anastazja. 7. Sylwek Cmentarnik. 8. Cnotliwi (wsp.). 9. Echo. 10. Bene nati. 11. Gedali (wsp.). 12. W klatce (wsp.). 13. Na dnie sumienia. 14. Australczyk. 15. Silny Samson. 16. Widma. 17. Argonauci (wsp.). 18. Ascetka. 19. Tadeusz. 20. Pan Graba. 21. Rodzina Brochwiczów. 22. Złota nitka. 23. Z życia realisty (wsp.). 24. Stare obrazki. 25. Legenda z puszczy. 26. Rozstajne drogi (wsp.). 27. Syn stolarza. 28. Marta. 29. Pompalińscy (wsp.).

ZADANIE MOZAIKOWE:

Porzucanie religii postępowaniem się mieni: Zwiierz się też nie modli, ani nie rumieni.

(Wyrazy: Piecza. Ogniwo. Rębnia. Zaciek. Uszarp. Chmyza. Agrest. Negliż. Impres. Errata. Rafael. Egoizm. Laguna. Iganie. Garnek. Jaloma. Izogon. Parada. Ozydle. Stasia. Turban. Znacze (wsp.). Paulin. Efront. Memfis. Stapel. Import. Kurczę (wsp.). Madame. Intuit. Eksces. Nagana. Italia).

Nagrody książkowe otrzymują: p. Hanka Kozłowska i p. Janina Mrówczyńska, z Warszawy. M. Si.

ZE ŚWIATA RADJA

JAKI NABYĆ ODBIORNIK?

Wady i zalety różnych typów odbiorników bateryjnych.

Odbiorniki bateryjne są przeznaczone dla mieszkańców wsi, gdzie niema oświetlenia elektrycznego. Ponieważ warunki lokalne wsi naogół sprzyjają dobremu odbiorowi, a przytem umożliwiają założenie dobrej anteny, przeto odbiornik dwu- lub trzylampowy wystarcza w zupełności dla silnego odbioru głośnikowego wielu stacji.

Odbiornik turystyczny. Pracuje zwykle z anteną prowizoryczną (kilkanaście metrów drutu, umocowanego jednym końcem do wysokiego drzewa, dachu, domu itp.). Daje głośny odbiór na słuchawki: w dzień — stacji lokalnej oraz wieczorem — kilkunastu silniejszych stacji zagranicznych. Zasięg mały, selektywność nieduża. Ponieważ w odbiornikach turystycznych pracują zwykle lampy dwusiatkowe, przeto koszt eksploatacji jest bardzo mały (5—6 sztuk baterijek od latarki kieszonkowej). Stacji lokalnej nie eliminuje. Mała waga i wymiary odbiornika, umożliwiają korzystanie z aparatu na każdej wycieczce. Cena sprzedaży od 60 do 90 zł.

Dwójka (dwulampowa). Odbiornik jednoosobowy, posiadający małą selektywność i nieduży zasięg. W dzień daje odbiór na głośnik stacji lokalnej, wieczorem zaś kilkanaście silniejszych stacji zagranicznych. Eliminuje stację lokalną. W celu oszczędnego używania baterij w odbiorniku, powinno być wbudowane specjalne urządzenie (prostownik Westector lub Sirutor). Dwójka z nowoczesnymi lampami t. zw. klasy B, daje bardzo silny odbiór na duży głośnik dynamiczny. Nadaje się do reprodukcji audycji stacji lokalnej w dużej sali. Selektywność i zasięg tejeż miary, co przy lampach zwykłych. Koszt eksploatacji nieduży (wymiana baterij). Cena sprzedaży z lampami zwykłymi około 100 zł, a z lampami klasy B — około 150 zł.

Trójka. Z lampami zwykłymi dorównywa nowoczesnej dwójce (lampy klasy B). Odbiornik jednoosobowy o niedużym zasięgu i selektywności. W dzień daje odbiór głośnikowy stacji lokalnej i kilku bardzo silnych i bardzo bliskich stacji zagranicznych; wieczorem — kilkadziesiąt stacji zagranicznych, lecz większość z dużymi przeszkodami (zanikami fali, gwizdy interferencyjne). Stację lokalną eliminuje. Do oszczędnego zużywania baterij odbiornik powinien mieć specjalne urządzenie. Aparat tego typu jest już układem przestarzałym. Koszt eksploatacji nieduży. Cena sprzedaży od 80 do 120 zł.

Trójka dwuobwodowa. Posiada znacznie większy zasięg i selektywność od poprzedniej. Daje w dzień bardzo silny odbiór głośnikowy stacji lokalnej i niezły odbiór kilkunastu silnych stacji zagranicznych. Wieczorem kilkadziesiąt stacji na głośnik. Przeszkody w odbiorze są znacznie mniejsze niż w trójce jednoobwodowej. Stację lokalną eliminuje. Przy zastosowaniu urządzenia do oszczędnego używania baterij, koszt eksploatacji nieduży. Trójka tego samego typu z lampami klasy B odznacza się tylko większą siłą odbioru i selektywnością. Nadaje się do reprodukcji audycji silnych stacji na duży głośnik w większej sali. Cena sprzedaży z lampami zwykłymi — 120—150 zł, a z lampami klasy B — około 250 zł.

Trójka trójobwodowa (z filtrem wstęgowym). Zawdzięczając dużej selektywności — mniejsza ilość przeszkód (interferencyj). Zasięg i siła głosu taka sama jak w trójce dwuobwodowej. Koszt eks-

ploatacji nieduży. Cena sprzedaży z lampami zwykłymi — około 200 zł, a z lampami klasy B — 300 zł.

Czwórka trójobwodowa. Odznacza się znacznie większą siłą odbioru od trójki trójobwodowej. Daje około 15 stacji w dzień i około 90 stacji wieczorem. Pracuje z lampami klasy B i pentodą wielkiej częstotliwości. Koszt eksploatacji dosyć duży. Zużycie baterji anodowej — oszczędne. Baterja żarzeniowa wyczerpuje się dosyć prędko; przy pojemności 36 amperogodzin, wystarcza na 60 godz. pracy odbiornika. Cena około 400 zł.

Piątka (superheterodyna). Odbiornik wysokiej klasy, odznaczający się wielką

selektywnością, zasięgiem i bardzo dużą siłą odbioru. Specjalne urządzenie przeciw zanikaniu fal. Ciche strojenie. Zużycie prądu (nawet przy lampach klasy B) — duże. Zasilanie odbiornika — tylko z baterji akumulatorowych. Godny polecenia w takich miejscowościach, gdzie ładowanie akumulatorów nie sprawia trudności. Odbiorniki te produkowane są wyłącznie przez wytwórnie zagraniczne.

Odbiorniki samochodowe. Przeważnie 5-cio lampowe superheterodyny, czerpią prąd z akumulatora samochodowego. Produkują je wyłącznie wytwórnie zagraniczne. Cena sprzedaży — 1000 zł.



Radjoodbiorniki wysokiej klasy w niskiej cenie —

typ 121-Z na prąd zmienny . . . zł 170— lub . . . zł 153—
typ 121-S na prąd stały zł 195— lub . . . zł 175 50
typ 131-B bateryjny zł 160— lub . . . zł 144— **na raty za gotówkę**

Żądajcie warunków sprzedaży za Pożyczkę Narodową

SPRZEDAŻ: K. Brun i Syn S. A., Bielańska 2 i oddziały — Block-Brun S. A., Krak. Przedm. 42/44 — B. Rudzki, Marszałkowska 146 — Herman i Grossman, Mazowiecka 16 — A. Klimkiewicz, Marszałkowska 154 — Radjo-Foto, Żolibórz, Plac Wilsona, Mickiewicza 27 — Kerntopt i Ska, Szpitalna 9 — B. cia Borkowscy S. A., Al. Jerozolimskie 6, oraz większe sklepy radjowe na prowincji.

PZT. Państwowe Zakłady
Tele- i Radjotechniczne
w WARSZAWIE, Grochowska 26/34